

odgłosy



8 (590)
23. II. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Kobieta i SZCZĘŚCIE

Co wiemy o kobiecie?
Zarozumiałcy odpowiadają — wszystko, pesymiści — nic, umiarkowani racjonalści — mało.
Co wiemy o szczęściu?
Najczęściej tyle, że różny sens nadają mu różni ludzie. Jednym szczęście daje praca, innym — pieniądze, jeszcze innym — miłość, leniom — nieróbstwo, a znudzonym — spokój.
Co daje szczęście kobiecie pracującej, obciążonej rodziną i kłopotami?

MIEJSCE NA ZIEMI

Pesymiści, jak zwykle nie mają racji. Trochę to my już o kobietach wiemy. Najczęściej właśnie o tej jednej, jedynej, wybranej wiemy najmniej i zaskakuje nas tym, co potrafi wymyślić i zrobić, ale o pozostałych, które stanowią 51,4 proc. ludności PRL, mamy już sporą wiedzę.

Przede wszystkim, że jest ich więcej niż mężczyzn — o 899 tys. i że w 1967 roku na 100 mężczyzn przypadło w Polsce 106 kobiet, a w Łodzi — 116. Ta przewaga, mimo wielu deklaracji o równouprawieniu, jest li tylko statystyczną. Są co prawda zawody niemal całkowicie sfeminizowane, ale to i tak nie zmienia sytuacji. W służbie zdrowia np. co piąty pracownik jest mężczyzną, a co drugi lekarz kobietą. W bibliotekach powszechnych kobiety stanowią 91 proc. pracowników. Podobnie jest wśród nauczycieli, farmaceutów, pracowników kultury.

W 1964 roku w Instytutach naukowych i badawczych oraz placówkach PAN pracowało 6 242 kobiety z wyższym wykształceniem i 2 727 kobiet — ze średnim zawodowym. Jednak zaledwie jedna czwarta wszystkich doktorów to kobiety, wśród docentów jest ich 17,5 proc., 11 proc. — wśród profesorów nadzwyczajnych i 5 proc. wśród profesorów zwyczajnych.

Lepsza połowa rodzaju ludzkiego ma też swoich reprezentantów we władzach. Wśród posłów na Sejm PRL kobiety stanowią 12,4 proc., w prezydium rad narodowych — 4,9 proc. Na 39 822 sędziów urzęd ten pełni 1 099 kobiet.

Wiedza o kobiecie sięga też i w inne rejony. Tworzą ją statystycy, demografowie, lekarze, socjologowie, seksuologowie i planiści. Statystycy potwierdzają biologiczną przewagę kobiet, Kobieta prze-

ciennie żyje dłużej o 5 lat od mężczyzny. Na dodatek w dużych skupiskach mężczyźni umierają szybciej. Demografowie i planiści badają okresy największej płodności kobiet oraz interesują się strukturą ludności w poszczególnych rejonach kraju, aby przygotować odpowiednie warunki życia, ale i tak to ostatnie piata im figle. Seksuologów interesuje stopień seksualnej satysfakcji kobiet i dzięki pracy Hanny Malewskiej, publikowanej przez Instytut Filozofii i Socjologii PAN, możemy cośkolwiek dowiedzieć się o tej sferze kobiecych doznań.

To wszystko prawda, ale chyba rację ma umiarkowany racjonalista, kiedy uparcie powtarza — mało. Są bowiem dziedziny, o których coś wiemy, ale najczęściej ogranicza się do stwierdzenia faktu.

Powtórzmy więc pytanie: Co daje szczęście kobiecie pracującej, obciążonej rodziną i kłopotami?

WSRÓD LUDZI

Kobieta nie pracująca należy dziś do rzadkości. Zresztą pojęcie nie pracująca jest swoistym nieporozumieniem. „Życie Warszawy” stwierdziło niedawno, że każdego dnia w Polsce przeznaczają się na pracę w gospodarstwie domowym 38 milionów godzin, to jest o 6 milionów godzin więcej niż wynosi czas przeznaczony na prace w gospodarce społecznej. Dodajmy do tego jeszcze czas przeznaczony na pracę przez kobiety wiskie. Dodajmy też powszechnie znany fakt, że większość kobiet pracuje na „dwóch etatach” — zawo-
dowo i w domu. Statystycy obliczyli, że w Polsce pracuje 80,4 proc. żon z rodzin dwuosobowych,

Dalszy ciąg na str. 4

JERZY DARNAL

W środku Polski

Niegdyś była to ziemia położona na krańcach, województwo nadgraniczne. Ale kiedy wróciliśmy nad Bałtyk, Odrę i Nysę, kiedy socjalizm nadał nowy sens naszym poczynaniom, Ziemia Łódzka znalazła się w centrum Polski. I nie było to symboliczne tylko przesunięcie konturów na mapie. Region rolniczy, z nielicznymi przyczółkami przemysłu, przeobraził się gwałtownie, kiedy szeroką falą wkroczyła do niego industrializacja. Dziś wizytówką Ziemi Łódzkiej jest nie tylko zboże, ziemniaki czy mleko; dziś jej legitymacją jest łączynka ruda, piotrkowskie maszyny górnicze, rawskie żyłki, działoszyński cement, a przecież daleko do wyczerpania tej listy.

Ostatnie dwa lata, okres sprawozdawczy wojewódzkiej organizacji partyjnej, wy-

datnie ten rejestr powiększają. Dalszy rozwój przemysłu jako podstawowego czynnika aktywizacji słabiej uprzemysłowionych powiatów i miast stanowił jedną z zasadniczych wytycznych partii na Ziemi Łódzkiej. Efekty tej działalności są znaczne, oznaczają dalszy poważny rozwój gospodarczy województwa. Dość powiedzieć, że zakłady przemysłowe Ziemi Łódzkiej zwiększyły swoją produkcję o blisko piątą część. To sporo jak na dwa lata. To dużo zważywszy, że za tym postępem ilościowym kryją się wyroby lepsze, estetyczniejsze, odpowiadające wymogom naszych czasów. I nie powinno nas to dziwić. Dzięki prowadzonej z rozmachem działalności inwestycyjnej blisko trzy czwarte wyrobów Ziemi Łódzkiej pochodzi z fabryk całkowicie nowych, zbudowanych w Polsce

Ludowej, albo też gruntownie zmodernizowanych, przeobrażonych. A jest to tylko część opracowanego przez instancję partyjną i radę narodową województwa długofalowego programu aktywizacji i urbanizacji miast oraz osiedli Ziemi Łódzkiej. Programu ambitnego i uwzględniającego realne możliwości. Programu, który budzi szacunek i zaufanie.

Industrializacja, obok ożywienia gospodarczego, niesie z sobą poprawę warunków bytowo-socjalnych ludności. Oznacza ona wzrost budownictwa mieszkaniowego, nowe kilometry sieci gazowej i kanalizacyjnej, nowe drogi i nowe, dodatkowe środki transportu, nowe sklepy, restaura-

Dalszy ciąg na str. 3



Nowy przewodniczący bońskiego Bundestagu — von Hassel podtrzymał zapowiedź swego poprzednika i powziął decyzję zwolania Zgromadzenia Federalnego NRF do zachodniego Berlina. Zgromadzenie to ma dokonać w dniu 5 marca wyboru prezydenta NRF, gdyż skompromitowany latami wojny Luebke odchodzi przedterminowo. W ten sposób — mimo przestróg — władze bońskie zdecydowały się na prowokacyjny krok, naruszający międzynarodowe porozumienia z 1945 roku, mocą których nadano zachodniemu Berlinowi specjalny status.

Berlin zachodni nie jest bowiem częścią NRF, leży na terytorium NRD, 200 km od granicy. Decyzją przeprowadzenia tam wyborów prezydenta Niemiec zachodnich jest nieczym innym, jak tylko próbą przekształcenia go w 12 kraj federalnej republiki. Prowokacja jest tym wyraźniejsza, że powszechnie ostrzegano przed następstwami tego kroku — m. in. głosem Polski, wyrażonym w oświadczeniu PAP, przede wszystkim zaś decyzją rządu NRD.

Władze NRD oświadczyły bowiem, że nie zezwolą na przejazd przez swe terytorium członkom Bundestagu oraz generalom i ołicerom Bundeswehry. Jest to logiczne następstwo ubiegłorocznych postanowień w sprawie ograniczeń w przejazdach, które dotyczyły członków neohitlerowskiej NPD i wyższych urzędników bońskich, przede wszystkim jednak oświadczeń na prowokacyjne zamierzenie, przeciwko któremu — jak wykazały ankiety — wypowiedziały się również większość mieszkańców NRD.

Wybór Berlina zachodniego jako miejsca posiedzenia Bundestagu jest, jak to oświadczył rząd NRD w nocie do trzech mocarstw zachodnich, „otwartym demonstrowaniem polityki odwetu kół rządzących NRF” oraz „nadużywaniem Berlina zachodniego i dróg dojazdowych NRD do tego miasta dla aneksjonistycznej polityki”.

Ostatnie posunięcie władz NRF jest składową częścią polityki bońskiej, zmierzającej do rewidowania wyników II wojny światowej. Zdecydowano się na nie w momencie, kiedy w Paryżu toczą się rozmowy w sprawie pokojowego rozwiązania konfliktu wietnamskiego, kiedy pojawiły się pewne elementy optymizmu w kwestii bliskowschodniej, kiedy ilość podpisów pod układem o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej wzrosła do 90 oraz wkrótce potem, kiedy Nixon zapowiedział bliską wizytę w 5 krajach zachodnioeuropejskich.

Podkreślenie momentu powzięcia decyzji jest istotne, ponieważ w sposób oczywisty wskazuje, że prowokacja ta ma na celu zaostrenie napięcia w Europie i podważenie wszelkich wysiłków, zmierzających do odprężenia. Te ostatnie bowiem utrudniały zabiegi Bonn o dostęp do broni nuklearnej.

Realizacja planowanego przez NRF wyboru prezydenta w zachodnim Berlinie nie może pozostać bez następstw na arenie międzynarodowej.

Podczas gdy zainteresowanie opinii publicznej zwróciło się w kierunku Niemiec — w Paryżu odbyło się czwarte już plenarne posiedzenie konferencji w sprawie Wietnamu. Podobnie, jak i poprzednie — nie przyniosło ono wyników! A więc znowu martwy punkt w rozmowach. Spowodowany jest on stanowiskiem delegacji amerykańskiej i sajgońskiej, z ich bowiem strony nie można dostrzec chęci wyjścia naprzeciw postulatowi, określonym w znanych czterech punktach DRW i pięciu NFW, które w istocie są programem politycznego rozwiązania problemu. Jako że opierają się one na postanowieniach układów genewskich z 1954 roku — ich nieprzyjęcie jest równoznaczne z nieuwzględnieniem tych układów.

Delegacje USA i Sajgonu uchylają się w Paryżu od rozmów politycznych, wysuwając na plan pierwszy zagadnienia militarne. Jest to metoda uników, która nie może przynieść rozstrzygnięć.

Rzecz charakterystyczna — brakowi postępu w oficjalnych rozmowach towarzyszyła fala pogłoszek jakoby poza stołem obrad toczyły się inne rozmowy, istotniejsze niż te pierwsze i w rzeczywistości — decydujące. Takie twierdzenia, rozsiewane celowo, nie odpowiadają prawdzie. W kołach zbliżonych do uczestników konferencji zaprzeczają się tym pogłoskom.

Zatem — nowy impas. Co leży u jego podstaw?

Obawy Sajgonu, że kiedy skończy się wojna i Stany Zjednoczone będą musiały wycołać swe wojska — o przyszłości kraju decyduje społeczeństwo w powszechnych wyborach. Wówczas reżim sajgoński, który — jak wyraził się przewodniczący delegacji NFW, Tran Buu Kiem — „jest nieczym innym, jak tylko instrumentem realizowania neokolonialistycznej polityki USA w Wietnamie Południowym” — z pewnością nie ma szans pozostania.

(Przypominamy czytelnikom, że Narodowy Front Wyzwolenia kontroluje 4/5 terytorium Wietnamu Południowego i że na wyzwolonych obszarach realizuje się program reform społecznych i ekonomicznych, gorąco popierany przez ludność).

Rozmowy paryskie w tej sytuacji są nie tylko walką o pokojowe, zgodne z wolą narodu, rozwiązanie konfliktu, ale — ze strony reżimu sajgońskiego — również walką o utrzymanie się przy władzy, o swoją egzystencję.

Nie rokowano konferencji paryskiej szybkiego pomyślnego finału. Przebieg dotychczasowych spotkań czterech delegacji raz jeszcze utwierdza w przekonaniu, że droga do porozumienia będzie długa. Mimo to będziemy z uwagą obserwować przebieg rozmów. Tylko bowiem w toku negocjacji można osiągnąć pokój.

W. SŁAWSKI

LISTY do REDAKCJI

RATUJĄC ŻYCIE

Jestem matką uratowanego przez panią doktor Krysińską małego Piotrusia, a tym samym chyba mnie zrozumiecie, że biorąc udział w plebiscycie głosząc wraz z mężem na panią doktor.

Przez okres ponad dwóch miesięcy miałam możliwość przy codziennych odwiedzinach dziecka obserwować pełną samozaparcia i poświęcenia pracę lekarzy. Przez cały ten czas pani Krysińska na równi z nami przeżywała naszą tragedię i gdy choć iskierka nadziei zaistniała po cieszała nas, lecz także sama każde pogorszenie przeżywała na równi z nami.

Do tego wszystkiego jest to człowiek ze wszech miar skromny, który nigdy ani je dnym słowem nie zdradził tego co robi dla dobra małego pacjenta. I w przypadku naszego synka też tak było, że ażkolwiek ze mną rozmawiała i wiedziała, że za kilka minut oddawać będzie własną krew memu dziecku, nie zdradziła się z tym ani jednym słowem i gdyby mi nie powiedział o tym dyrektor szpitala pan doktor Gortat to ja nie byłabym przekonana, że i po fakcie z ust pani doktor nie do wiedziałabym się tego. Gdy następnego dnia dziękowałam jej za to co czyni dla naszego synka nie chciała wcale słuchać oświadczać, że był to jej święty obowiązek ratować życie.

Ja wiem że do życia i szczęścia ludzi potrzebni są i muzycy i literaci, ludzie uczciwi, lecz jakie to wszystko miałyby znaczenie, gdyby życia naszego nie rozjaśniał śmiech zdrowego dziecka i troska ludzi, którzy o to dbają.

Dlatego w naszym przekonaniu na Łodzianina roku 1968 w pełni zasługuje p. doktor Halina Krysińska, na którą oboje z mężem głosujemy.

Longina i Kazimierz Czekalscy

W Plebiscycie na „Łodzianina 1968” głosuję na p. dr Halinę Krysińską, człowieka oddanego całym sercem temu, co dla nas wszystkich najdroższe — dzieciom.

Janina Chwiralska

Znane są nam liczne przykłady poświęcenia czy też bohaterstwa. Dowiadujemy się o nich z prasy i innych źródeł. O ludziach tych należy pisać więcej niż dotychczas. Dr Krysińska tę listę powiększa. Główną i zasadniczą cechą tej kobiety jest jej skromność i naturalność, dobre i wrażliwe na cierpienia serce. W rozmowie z dr Krysińską o sprawie oddania przez nią własnej krwi dla

ciężko chorego dziecka — odpowiedziała, iż nie widzi w tym nic nadzwyczajnego — zrobiła to, co każdy z nas w takiej sytuacji winien uczynić. To jest zdanie dr Krysińskiej. W życiu spotykamy się z gorzką prawdą. Ile to razy choremu nie tylko nie pomaga się, lecz wręcz odwrotnie — odmawia mu się pomocy. W zestawieniu tych sytuacji należy częściej pisać o dobrym i złym. Dr Krysińska jest jak wiemy lekarzem dzieci.

Lecz nie zapominajmy o tym, że są i tacy rodzice „spod ciemnej gwiazdy”, jak pokazała nam telewizja w dniu 23.1.69 w reportażu pt. „Kontakty”, którzy pozostawiają własne dzieci bez żadnej pomocy i opieki. Piętnujemy ich. Niech Sądy mają uprawnienia wpisywania do dowodów osobistych adnotacji o zasadzonych alimentach — wówczas taki „tatusz” nie będzie uciekał po całym kraju z miejsca na miejsce, aby tylko zgubić ślad i nie płacić zasadzonych alimentów. Piętnowanie zła i częste pokazywanie nam ludzi bohaterów, jak dr Krysińska, która własną krwią ratuje ciężko chore dzieci od śmierci — niewątpliwie przyczyni się do lepszej postawy moralnej społeczeństwa.

Antoni Ferlich

Wtedy to właśnie odczułam silnie piękno ziemi łódzkiej przekazane nam przez p. Justa poprzez jego piękne pejzaże.

Nasze miasto w stosunku do innych miast Polski jest b. młode, torujące sobie drogę do zajęcia miejsca w historii, toteż każdy, który przyczyni się do wzbogacenia kultury i sztuki związanej z Łodzią — zasługuje na uznanie i wyróżnienie.

Zofia Lasota

PISARZ ODWAŻNY

Ja niżej podpisany z całą rozciągłością głosuję na Wiesława Jazdyńskiego, gdyż jest pisarzem i publicystą wyjątkowo odważnym. Dużo cenię jego krytykę literacką. Laureat nagrody miasta Łodzi. Gorąco życzę p. W. Jazdyńskiemu aby wybrany został na „Łodzianina Roku”. Na kandydata numer 2 głosuję na Henryka Debicha gdyż uwielbiam muzykę i trudno byłoby pominąć to na zwisko, tak dobrze znane wielbicielom Jego talentu.

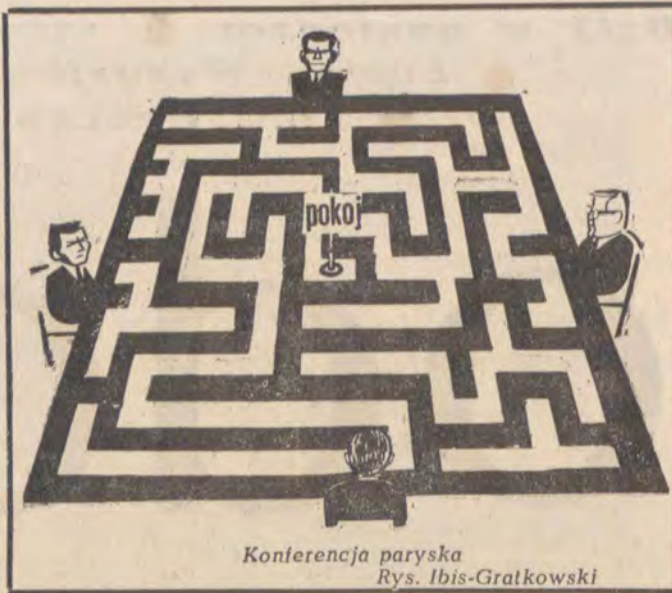
Marian Gałwa

JEST TAKI SIERŻANT

Na Łodzianina roku 1968 typowałbym sierżanta MO Zygmunta Wojciechowskiego, za jego poświęcenie i od wagę. Sierżant Z. Wojciechowski z narażeniem swojego życia uratował dwoje dzieci (5-letniego Piotrusia i 3-letnią Mariolkę) z płonącego mieszkania przy ul. Wojska Polskiego.

Czyn ten jest przykładem bohaterstwa a zarazem dobre spełnienia obowiązku Obywatela PRL.

Z czynu tego sierżant Z. Wojciechowski może być du-



Konferencja paryska
Rys. Ibis-Gratkowski

mny. Dumna z czynu tego po winna być także cała jego rodzina jak i Komenda MO Łódź-Bałuty, iż ma w swoich szeregach takiego pracownika. Pracownika wzorowego i sumiennego, który powinien być przykładem dla każdego milicjanta jak, i obywatela PRL.

Jerzy Rosiński

Zawód lekarza jest jedną z tych profesji, które nierozdzielnie łączą się z wyjątkowo ciężkimi trudami codziennej pracy, wymagają nie kończących się poświęceń i bezgranicznego oddania. Już z samym słowem lekarz każdemu przeciętnemu śmiertelnikowi kojarzy się człowiek niezwykle odpowiedzialny za wszystkie swoje czyny, obowiązkowy, przystępny. Nietrudno więc chyba zrozumieć, że każdy człowiek wybierający ten ciężki, obfity w nieustające trudy, wymagający ciężkich poświęceń zawód musi czuć gotowość, jakąś wewnętrzną potrzebę niesienia pomocy ludziom cierpiącym, potrzebującym fachowej porady i serdeczności. Nie wszyscy jednak potrafiały w odpowiedni sposób wywiązać się ze swych tak przeciętnych, wymagających niezwykle dużo silnej woli, ogromnego hartu ducha i samozaparcia obowiązków. Do grona godnych najwyższego szacunku i uznania ze strony nas wszystkich należy dr Halina Krysińska. Ta szczupła, o ciemnych ruchliwych i życzliwych oczach brunetka, należy do tej kategorii ludzi, którzy swą obecnością budzą wokół siebie promienną atmosferę życzliwości, zaufania i gotowości zrozumienia sytuacji każdego potrzebującego pomocy czło-

ja oddaje swój głos na dr Halinę Krysińską.
Krystyna Szymczak

PRZYJACIEL DZIECI I LUDZI PROSTYCH

42 Łódzka Drużyna Harcerzy im. Leona Schillera przy Szkole Podstawowej nr 45 w Łodzi, oddaje swój głos w konkursie plebiscycie na malarza pana Stefana Justa.

Szkoła nasza nosi imię wybitnego malarza polskiego Jana Matejki. Każdego roku organizujemy apel, poświęcony jego pamięci. W związku z tym interesujemy się malarstwem. Od dawna chcielibyśmy więc zobaczyć, jak po wstąpieniu dzieła malarskie. Wybraliśmy się w tym celu do pracowni pana Justa. Przyjął nas bardzo serdecznie. O powiadał o harcerzach z okresu jego młodości. W pewnym momencie umilkł, patrząc gdzieś daleko. Po chwili poprosił nas, abymy stanęli jak werbiści na apelu. Poprawił nam ręce, podniósł głowę i szybko zaczął kreślić nasze sylwetki węglem na płótnie. Powiedział nam, że obraz będzie przedstawiał „apel poległych”. Widzieliśmy później ten obraz na wystawie w galerii w Parku Sienkiewicza. Za grupą harcerzy stały postacie męczenników za Polskę. Tak pobyt nasz, posłużył malarzowi, jak ko widać dzieła malarskiego. Po raz drugi odwiedziliśmy pana Justa, zimą bieżącego roku. W pracowni było dużo obrazów przedstawiających dzieci. Pan Just jest wielkim przyjacielem dzieci.

(podpisy)

KOJARZY SIĘ Z ŁODZIĄ

Pragnę wytypować jako „Łodzianina 1968” Mariana Piechala, literata, którego na zwisko zawsze utożsamiam się z Łodzią. Ilekroć mowa o literatach Łodzi, zawsze na pierwsze miejsce wysuwa się postać i twórczość Mariana Piechala. Ja osobiście nazwisko tego literata zawsze kojarzę sobie z literackim „światem” Łodzi. W roku 1968 nazwisko Mariana Piechala głośno było nie tylko w Łodzi, ale w całej Polsce.

Jestem więc, jeszcze raz to podkreślam, za Marianem Piechalem.

Walenty Jarecki

FINAŁ SPOTKANIA W NOC WIGILIJNĄ

Dziesięć postaci, dziesięć cieni spotkało się na łamach świątecznych „Odgłosów”. Ale oto już po spotkaniu i przyszedł czas na losowanie odpowiedzi jakie nadeszły na nasz świąteczny konkurs.

Pierwszą nagrodę (robot kuchenny) otrzymała Zofia Zalasza, Łódź 19, ul. Traktorowa 67. Drugą nagrodę (wórką do soków) otrzymała Wiesława Rachubińska, Łódź, ul. Obr. Stalingradu 58 m. 8. Trzecią nagrodę (zegarek męski) otrzymał Zygmunt Nagłowski, Łódź Próchnika 45 m. 10.

Wyróżnienia w postaci budzików otrzymali: Celina Kowalczykowska, Galkówek, pow. Łódź, ul. Łódzka 1, Adela Kotasiakówna, Łódź, ul. Wólczńska 230 m. 54, Natalia Canova, Łódź, Obr. Stalingradu 3.

Prawidłowe rozwiązanie wygląda tak:

A	Julian Tuwim	2
B	Rajmund Rembieliński	7
C	Władysław Strzemiński	10
D	Witold Wandurski	3
E	Zygmunt Bartkiewicz	1
F	Julian Marchlewski	8
G	Andrzej Strug	4
H	Władysław Reymont	5
I	Artur Gliszczyński	6
J	Leon Schiller	9



Wiedeń.
Fot. A. Wach

STANISŁAW KASZYŃSKI

(II)

NOTATNIK Wiedeński

8.XII

Jeszcze parę słów o Burgtheaterze. Mimo uzasadnionych zastrzeżeń do tej instytucji, a zgłosić by

ich można sporo, nie będę ukrywał, że lubię ten teatr. Lubię atmosferę jego wnętrza, jego powietrze, naelektryzowane sztuką tylu pokoleń widzów. Grał tu wspaniały Dawison, wystawiano tutaj sztuki „mojego” Rittnera, poety przeciw Burgu. Ktoż przepowie te dzieła w kilku zdaniach! Burg jest nie wątpliwie nieco staroświecki, ale tak być musi, bo pielęgnuje troskliwie swą tradycję, czyni to świadomie, i właśnie w tym przywiązaniu doń jest wielki — autentyczny. Od obecnego sezonu rządzą przejął Paul Hoffmann, z profesją aktor. Z tej okazji w jednym z programów nowa dyrekcja sprecyzowała swoje założenia. Proklamuje się Burg jako teatr światowy (Welttheater). „Nic co ludzkie nie jest mu obce. A więc tragedia człowieka, przeniesiona na scenę w widowisku, tragedii i komedii, od Greków do współczesności. Burgtheater stoi przy Ringu. W Wiedniu, w Haupt und Residenzstadt, państwa, nad którym w ostatnim stuleciu zaszło słońce... Duch austriackiej poezji między Grillparzerem, Musilem i Dodererem jest bogatym rozszepczającym się w pryzmach refleksów tego austriackiego i europejskiego zmięszchu”. Na

piisał te słowa prof. F. Heer, redaktor programu i kierownik duchowy Burgu; jego kadencja tylko pozornie wybrzmiewa minorowo, akcenty padają na uniwersalny i austriacki charakter koncepcji tego teatru. Stąd też sezon rozpoczęto „Zydówką z Toledo” F. Grillparzera i „Małoważnym” (Der Unbedeutende) J. Nestroya. Widziałem tę ostatnią sztukę. Oba utwory wyrażają bardzo austriackie doświadczenie, precyzują ją i podkreślają identyczną wiedzę o życiu. W tej parze autorskiej Nestroy fascynuje mnie szczególnie, nie tylko był i pozostał rasowym pisarzem wiedeńskim, lecz jest w ogóle pisarzem wysokiej klasy, głębokim, subtelny filozofem ludzkich bied i radości, mądrym i zgorzkniałym. Potwierdzają to ostatnie studia, unaczynia to ciągłe teatr. Ze względu na dialekt, jakim się posługuje, i swoistości obyczajowe, tutaj tak znakomicie trawione i wręcz entuzjastycznie przyjmowane, jego wpływ szerszy wskutek tych barier ma ograniczony zasięg. Lecz był i u nas często grany, przede wszystkim jego „Trójka hultajska”, a ostatnio wystawiano przeróbkę Tuwima i Jareckiego „Słusarz — widmo”. Jednakże Nestroya smako

wać można jedynie, tzn. najpełniej w oryginalnym tekście, bądź też w realizacjach rdzennych Wiedeńczyków, którzy do dziś mówią po części „po nestroyowsku”, bezbłędnie potrafią wchodzić w miękki i liryczny intonację, ruch, gest tak doskonale wykładają znaczenie słowa, iż poprzestać by można na pantomimie. Rzecz nie tylko w wyrażeniu klimatu i stylu starego Wiednia, lecz także w nienagannym rzemiośle; czy to nie jest czasem ważniejsze w teatrze niż wątpliwe koncepcyjki reżyserów? Obecna wersja „Małoważnego” okraszono aktualizującymi przyśpiewkami — jak oni śpiewają! — widowia ba wita się kapitalnie, lecz dla rozmiłowanych w „czystym” Nestroyu była to obraza mistrza. Pytano w 1910 roku wielkiego Kainza, jak grać Nestroya. „Guat oder gar nót” — „Dobrze albo wcale” — wykręcił się najsłuszniej. Myślałem,

prawdy w wirze i chaosie zdarzeń relacjonują sprawy bezsporne. Prze glądam rocznik 1768, dokładnie sprzed dwustu lat. Bardzo szczegółowa analiza aktu Konfederacji Barskiej, składającego się z 15 punktów, piszą wiele o „wyprawach krzyżowych” konfederatów. Dowiaduję się, że konfederatom nie było wolno stykać się ze schizmatykami, luteranami, kalwinami i pryncypalnymi ani zdradzać tajemnic konfederacji ni matce ni siostrze. Ciągłe donoszą o ruchach obcych wojsk, o potyczkach, bezradności sejmku i króla, o zdradzie, o pozuczeniu przez ościennych ambasadorów w zasadach tolerancji i sprawiedliwości. Oto prymas Polski, jurjielnik Podoski, jako pierwszy duchowny spośród magnatów otrzy mał order zagraniczny i 5000 rubli; wręczono mu te dowody łaski w skierniewickiej rezydencji. Oto magistrat Starego Miasta (Warszawy)

Z BLIŻSZYCH I DALSZYCH STRON

ogłądając Nestroya i starszego o deń Raimunda, o granu Fredry, ich rówieśnika. Zapomnieliśmy do cna, jak go się grało, który z dzisiejszych aktorów umie nosić kon tusz, a cóż mówić o trudniejszych sprawach. Wiedeński teatr jest do brą szkołą podtrzymywania tradycji.

10.XII.

Święta coraz bliżej, najbliższe w handlu, który efektywnie i wyszukanie sposobi się na run klientów, oferuje wszelakości, dba też o od świętą szatę ulic. W dzielnicach handlowych płoną od zmkru tysięcy kolorowych lampek, rozwieszonych między domami. Innym sygnałem nadchodzących świąt jest ustawianie olbrzymiej jodły przed ratuszem. Na przybycie tej miejskiej choinki oczekiwał tłum ludzi, przeważnie dzieci i emeryci. Poda no godzinę przybycia ładunku, prasa zaś informowała o przebiegu transportu. Każdego roku inny kraj (Land) ofiaruje stolicy drzewko, tym razem kolej przypadła na Karyntię Tablica pod jodłą informuje o tym darze jako dowodzie związków kraju z Bundeshauptstadt. Również burmistrz Wiednia składa mieszkańcom stolicy życzenia świąteczne i noworoczne na wielkich plakatach. Świąt oczekuje się, jak bodaj wszędzie, raczej nie tyle z potrzeb religijnych, ich atrakcję upatruje się w innych walorach, bar dziej przyziemnych i namacalnych. Istnieje zresztą i materialny aspekt stosunku do kościoła: kościół ściągą podatek. Toczy się właśnie debata nad tą kwestią, pierwszy projekt spotkał się z bardzo gwałtowną krytyką, przedmiotem sprzeciwu jest m. in. planowana bezpośrednia egzekutywa świadczeń. Jest jeszcze jedna przykra okoliczność w tej materii. Podatek ten zaprowadzili... hitlerowcy, chodzi o to, aby tę ustawę zamienić na austriacką.

12.XII.

Wracam do zaczętych kiedyś lektur gazet osiemnastowiecznych. Te raz zanurzam się w „Brünner Zeitung”, gazetę wychodzącą w czeskim Brnie. Pełno wiadomości z Polski, która wówczas, ze względu na niesłychane wydarzenia polityczne — agonia mocarstwa — przykuwała naszą uwagę całej Europy. Anonimowi korespondenci, których nigdy chyba nie zdołamy zidentyfikować, zastrzegają się, że podają jedynie pewne informacje, sprawdzone, że mimo trudności ustalania

wydał pierwsze prawo obywatelskie desydującemu Posnerowi, księgarzowi, który również „swoją intencją jako i inni obywatele katolicki może trzymać otwarty”. A dalej: „Jest bowiem zrozumiałe, iż za przyczyną coraz bardziej rozpo wszechniającego się upodobania w naukach a dzięki temu wzrastającej ilości uczonych i przyjaćiół uczoności w tym kraju za terażniejszego rządu, również i handel z książkami lepiej odtańd rozwijać się musi, co w dalszym porządku i podobnych kupców do osiedlenia się tutaj zachęci” (z 23.IV. t.r.). Muszę wyznać, że ta notka nieco osłodziła mi smętne i gorzkie refleksje. Pozbierać te korespondencje, przełożyć i wydać — cóż to byłoby za pasjonująca książka. Bestseller murywany!

16.XII.

Tra la la „Mayerling” ist da — obwieszcza wiedeński „Kurier”. Chodzi o film poświęcony bohaterom Mayerlingu, ks. Rudolffowi, następcy tronu i Marii v. Vetsera, którzy 30 stycznia 1889 roku w zamku myśliwskim w M. rozstali się z życiem. Nie czytałem ostatniego obszernego dzieła o tym zdarzeniu, można je nabyć za ciężkie szylingi, nie wiem zatem, czy tajemnicza samobójstwa (?) jest tam wyjaśniona. W każdym razie zdążyła utrwalić się zgoła romantyczna legenda. Cóż za temat dla producentów ubogich wruszeń! Toteż film nakręcono w międzynarodowej obsadzie: Rudolf — ks. episkopi Omar Sharif, Maria Catherine Deneuve, Cesarzowa — Eva Gardner, cesarz — James Mason. Ow ALL-Star-Team zjawił się na premierach w Paryżu, Londynie i w Nowym Jorku, nie zaszczycił Wiednia, gdzie za kilka dni w jednym z wytworniejszych kin odbędzie się najtrudniejszy sprawdzian, bo z najbardziej „miarodajną” publicznością. Na premierze zamiast parady gwiazd grmeć będą znane kapele Hoch — i Deutschmeisterów. Na film się nie wybieram, wystarczy mi fragment scenariusza. Przepisuję z gazety; oto 13. sekwencja: Rudolf spędza wesoło wieczór u Sacheru w towarzystwie swej przyjaciółki, aktorki Mizzi Kaspar, hr. Hoys i innych birbantów. Wpadła marka jednakże w oko cyganka Marinka. Ma nadzieję, że odwiedzi go w sypialni. Tymczasem zjawia się

Dalszy ciąg na str. 10

W środku Polski

Dalszy ciąg ze str. 1

cje, domy kultury i świetlice. Każde, nawet najmniejsze miasto powiatowe, ma dziś swoje własne Zubardzie, Dąbrowy, Rokicia i Koziny, które biorą nazwy od

ulic, przy których stanęły i równie szybko jak metropolie, jak Warszawa, Łódź czy Katowice zmienia swoje architektoniczne oblicze. A jednocześnie z wkraczaniem na Ziemię Łódzką nowego przemysłu i budownictwa zmienia się monotony, równinny pejzaż województwa. To niekoniernie muszą być hałdy łączycykiej kopalni, górujące w promieniu kilku kilometrów nad całą okolicą. To mogą być betonowoszkłane brwły hal sieradzkiej „Siry”, albo zębate konstrukcje radomszczańskich fabryki mebli, albo tyle razy oglądane z okien pociągu skierniewickie zakłady metalowe zlewające się ze ścianą lasu.

Ale przecież, mimo daleko posuniętych procesów industrializacyjnych, pozostaje Ziemia Łódzka regionem rolniczym. Regionem, dodajmy, w którym rozwojowi produkcji rolnej towarzyszy kształtowanie socjalistycznych stosunków na wsi, co oznacza zwiększenie aktywności społecznej ludności wiejskiej, postęp w dziedzinie oświaty i ochrony zdrowia, korzystanie z dóbr kultury, poprawę warunków życia.

Obraz wsi odciętej od szerokiego świata, zabitej deskami, gdzie diabeł mówi dobranoc a znachor dzień dobry, należy już do przeszłości. Te widma ciemnoty rozpadły się w proch, kiedy do najmniejszych osad wkroczyły szkoły Tysiąclecia, ośrodki zdrowia, biblioteki, agronomówki, kiedy seanse kin objazdowych są równie częste jak jarmarki, kiedy wzrosło czytelnictwo prasy i książki.

Nowa, socjalistyczna wieś aktywnie uczestniczy w programie rozwoju kraju, pełnymi garściami korzysta z tej szansy, jaką wszystkim stworzyła Polska Ludowa. I jeśli przyjąć, że miernikiem tego rozwoju jest postęp w dziedzinie produkcji rolnej, Ziemia Łódzka nie zaprzepaściła tej szansy. Trzeba przede wszystkim skonstatować wydatny wzrost plonów. Na jednym hektarze ziemi uprawnej rodzi się już dziś w województwie łódzkim więcej niż dwadzieścia kwintali zboża. Równie imponujący jest ilościowy i jakościowy wzrost hodowli zwierząt. Systematyczny wysiłek służby rolnej, nakłady na mecha-

nizację i unowocześnienie rolnictwa przynoszą więc rezultaty, które budzą nadzieję.

Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku zakończyła obrady XI Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza wojewódzkiej organizacji partyjnej. Potężna organizacja, licząca już ponad sto tysięcy członków. Wcielając w życie uchwały V Zjazdu, bilansując dokonania, Konferencja ta wypracowała jednocześnie program dalszego, wszechstronnego rozwoju Ziemi Łódzkiej, regionu nowoczesnego przemysłu i równie nowoczesnego rolnictwa. Fał wielkiego ożywienia politycznego wobec ubiegłorocznych wydarzeń w kraju i na świecie towarzyszy wzrost osobistego zaangażowania członków partii a nawet bezpartyjnych w budowę socjalizmu, towarzyszy poczucie odpowiedzialności za losy i kształt naszej ojczyzny. To zapowiada, że program rozwoju Ziemi Łódzkiej będzie jeszcze ambitniejszy niż dotychczas.

JERZY DARNAL

str. 3

Kobieta i SZCZĘŚCIE

Dalszy ciąg ze str. 1

72,2 proc. — z trzyosobowych, 66,9 proc. — czteroosobowych i 90,8 proc. kobiet samotnych. Przy czym 342 tys. kobiet pracuje i uczy się jednocześnie, a 12,6 proc. wszystkich zatrudnionych kobiet na do- datak dojeżdża do pracy.

W gospodarce uspołecznionej 37,4 proc. pracujących stanowią kobiety. Nie zapominajmy jednak, że 147,2 tys. osób zajmuje się u nas pracą nakładczą, z tego tylko 28 tys. mężczyzn. W wielu gałęziach

szają ilość snu. Dotyczy to szczególnie kobiet pracujących na 3 zmiany, które po przepracowanej nocy nie kładą się spać, ale przygotowują śniadanie, sprzątają, przygotowują obiad i najczęściej śpią po kilka razy, w przerwach domowych zajęć.

Kobieta pracuje 8 godzin, ale poza domem przebywa dłużej. Musi wcześniej przyjść do pracy, przebrać się przed i po pracy. Sporo czasu pochłania jej dojazd. W sumie średnio do 8 godzin pracy dochodzi jeszcze 1,5 godziny. Nie licząc czasu przeznaczonego na zakupy. Badania wykazały, że zakupy pochłaniają od 30 minut aż do 2 godzin dziennie. Potem przychodzi gotowanie, pranie, reperowanie odzieży, sprzątanie, pomoc dzieciom w nauce, choć najczęściej sprowadza się to do przypilnowania, aby odrobiły lekcje, gdyż na pomoc merytoryczną nie wszystkich już stać. Zrozumiałe, że wielu kobietom pomagają domownicy. Różnie to jednak bywa w różnych środowiskach.

Co pozostaje kobiecie pracującej z czasu przeznaczonego na jej odpoczynek? Podstawową rozrywką jest telewizja. Poświęca jej się od 30 do 120 minut dziennie. W niedzielę więcej. W niedzielę dochodzi gazeta, czasem tygodnik,

razdziej kino czy teatr. W niektórych rodzinach obowiązkowy spacer, czasem wizyty u krewnych lub znajomych. Radia słucha się najczęściej na zasadzie „szumu” — radio gra i nie przeszkadza — w niedzielę uważniej. Tu znów zastrzeżenie, że formy spędzania wolnego czasu mają swoje specyficzne odchylenia u ludzi różnych zawodów i środowisk.

DROGI DO SZCZĘŚCIA

Bez obawy o zbytnią przesadę można powiedzieć, że kobiecie pracującej obciążonej rodziną i licznymi kłopotami do szczęścia brakuje racjonalnej organizacji domowej pracy. Brakuje jej dobrze przemyślanej i zorganizowanej pomocy. Po pierwsze — opieka nad dzieckiem. W kraju mamy 8 443 przedszkola. W Łodzi — 164, ale wszyscy dobrze wiemy, że ciągle więcej jest dzieci niż wolnych miejsc. Jeszcze gorzej wygląda sprawa ze żłobkami. Często z pomocą przychodzą babcie, ale nie jest to racjonalny sposób rozwiązania trudności.

Po drugie — gospodarstwo domowe. Na 100 gospodarstw w roku 1967 posiadało: 75 — pralki ele-

ktryczne, 21,3 — lodówki, 33,4 — odkurzacze, 43,3 — maszyny do szycia. W Łodzi według danych z 1966 roku było 63,3 proc. mieszkań wyposażonych w wodociąg, 41,1 proc. miało „wc”, 33,6 proc. — łazienkę, 46,4 — gaz z sieci, a 29 proc. — centralne ogrzewanie. Dla pełnego obrazu warto dodać, że np. w Łodzi nie ma specjalistycznej spółdzielni zajmującej się wyłącznie instalowaniem i dostarczaniem gazu w butlach, choć sprawami tymi zajmuje się m. in. Spółdzielnia „Instalator”. Gaz z sieci czy z butli poważnie ułatwia pracę w domu.

Chodzi zatem o ułatwienie pracy domowej — tej na „drugim etapie”. W miastach ZSRR widziałem liczne porożnięte po nowych i starych osiedlach „domaszne kuchnie”, sklepy przypominające nasze garmażerie, ale dysponujące zarówno gotowymi daniami typu barowego, jak pełnym zestawem „półproduktów”. Przygotowanie obiadu w takich warunkach nie zajmuje już tyle czasu.

Samo wyposażenie mieszkania w zmechanizowany sprzęt też nie załatwia problemu, nie stanowi jeszcze wystarczającej pomocy kobiecie. Pojmuje to np. Liga Kobiet i w ubiegłym roku przeszkoliła w Łodzi na różnego rodzaju kursach i pokazach przeszło 35 tys. osób. Tylko że jest to kropla w morzu potrzeb. Choć kierunek działania najzupełniej słuszny — chodzi bowiem o wyrabianie pewnych nawyków, umiejętności wybierania takich sposobów działania, które zajmują najmniej czasu i które dają najlepsze wyniki. Tylko, że pomoc kobiecie pracującej musi być wszechstronna — z jednej strony systematyczne dostawy sprzętu, z drugiej pomoc w innych dziedzinach, a więc „półprodukty” żywnościowe niezbędne dla szybkiego przygotowania obiadu, a po trzecie — wyrabianie umiejętności korzystania z równo ze sprzętu, jak i z innych udogodnień. Działanie musi być jednocześnie i wszechstronne, a terenem — fabryka lub miejsce zamieszkania. Tutaj kobieta pracująca spędza więcej niż jedną trzecią doby, tutaj powinna móc załatwić podstawowe sprawy. Taki kierunek działania przyjęto np. w niektórych fabrykach ZSRR. Skoncentrowano w fabryce zakłady usługowe i inne, które służą pomocą pracownikom. Spróbujmy i my, może na razie w drodze eksperymentu, ale sądzę, że ta forma działania ma przyszłość, niezależnie od rozbudowy sieci handlu i usług w osiedlach, gdyż na koncentrację instytucji służących pomocą kobiecie pracującej pozwolić sobie będą mogły tylko niektóre — przeważnie wielkie fabryki.

Mimo wszystko nie jestem pewny, czy odpowiedziałem na pytanie, co daje szczęście kobiecie pracującej, obciążonej rodziną i kłopotami. Bo, co my w końcu wiemy o szczęściu? Każdy ma swoje własne szczęście, albo go szuka, a kobiecie pracującej trzeba pomagać wszelkimi sposobami, nie tylko w deklaracjach.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Fot. Jerzy Stankiewicz

BOLESŁAW WOJCIWICZ

Kierunek — Afryka Zachodnia

Pierwsza w kraju studencka ekspedycja naukowa do Afryki Zachodniej, znana pod kryptonimem „AFRYKA-69”, w najbliższych tygodniach opuści kraj. Organizowana jest przez Zrzeszenie Studentów Polskich i Uniwersytet Łódzki.

Inicjatywa ta narodziła się w gronie aktywistów ZSP na Uniwersytecie Łódzkim w ramach działalności studenckich kół archeologów i etnografów. Do jej powstania przyczyniło się zarówno zainteresowanie afrykanistyką wyższych uczelni jak też sama atmosfera Łodzi. Podkreślenia wymaga tu rola Uniwersytetu Łódzkiego w kształtowaniu zainteresowań problemami Afryki. Fakt istnienia przy UE Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców, które go znakomitą część słuchaczy stanowią przedstawiciele krajów Trzeciego Świata,

w tym zwłaszcza z Afryki — powoduje nieustające podtrzymywanie zainteresowania problemami tego regionu geograficznego.

Uniwersytet Łódzki posiada bowiem da leko zaawansowane studia naukowe nad niektórymi zagadnieniami afrykanistycznymi. Dla przykładu, w Katedrze Archeologii od dłuższego czasu prowadzi się studia nad tradycjami wojskowości zachodnie go Sudanu. Problematyka afrykańska interesuje także etnografów, ekonomistów i socjologów. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że problematyka kontynentu afrykańskiego jest silnie akcentowana przez inicjatywę i przedsięwzięcia Zrzeszenia Studentów Polskich, szczególnie na Uniwersytecie Łódzkim. Należy podkreślić ciekawą i pozytywną akcję, jaką prowadzi na rzecz popularyzacji Afryki studencki klub „KONTYNENTY” — istniejący przy UE i studencki oddział Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Afrykańskiej.

Początek lat 60-tych, związany z przemianami politycznymi w Afryce, przybliżył ten olbrzymi kontynent zainteresowaniom szerokiego rzesz społeczeństwa. Lata te były przełomowymi. Realne stały się wysiłki w kierunku ujednolicenia wiedzy i jej popularyzacji o dawnej i współczesnej Afryce. Problematyka ta znalazła swoje odbicie w czasopiśmie naukowych oraz w prasie codziennej, radiu i telewizji. Powstały też pierwsze polskie instytucje zajmujące się badaniami zagadnień afrykanistycznych. Rozpoczęły się pierwsze badania terenowe w Czarnej Afryce. W Warszawie eksponowano wystawę zorganizowaną przez UNESCO pt. „AFRYKA NIEZNANA A BLIŻAJĄCA SIĘ” — obrazującą duży zespół ludów

pierwotnych podlegających rewolucyjnym przemianom kulturowym i gospodarczym.

Nie należy się zbytnio dziwić, że w tej ogólnokrajowej i łódzkiej atmosferze narodziła się inicjatywa studentów Uniwersytetu Łódzkiego wyruszenia do Afryki. — Tak bliskiej a zarazem tak odległej. Inicjatywa była i jest podsycona przez codzienne kontakty polskich studentów z ich egzotycznymi kolegami. Doprowadzenie jej do końca stało się ambicją inicjatorów akcji. Oczywiście sama ambicja i dobre chęci niewiele by pomogły.

Z pierwszym błogosławieństwem otrzymanym od samego Jego Magnificencji Rektora UE studenci rozpoczęli generalnie na tarcie w tych kierunkach, które pozwalały rokować nadzieję na szybkie i pozytywne załatwienie wnieszonych petycji. Bywało różnie. Dla przykładu, jedni nigdy nie potrafili pojąć w czym rzecz, inni przez swoich sekretarzy dawali do zrozumienia, że nie te drzwi. Ale znaleźli się i tacy, którzy serdecznie przyjęli studentów, cierpliwie ich wysłuchali i podjęli decyzję. Decyzje na rzecz inicjatywy, na rzecz wyprawy. Oto niepełna lista życzliwych: minister żeglugi, Janusz Burakiewicz, sekretarz CRZZ, Irena Sroczyńska, przewodniczący Sejmowej Komisji Gospodarki Morskiej i Żeglugi, Andrzej Benesz, dyrektorzy zjednoczeń i zakładów pracy przemysłu lekkiego i chemicznego. Dzięki temu poparci i pomocy studenci otrzymali bez płatne bilety okrojone na linii zachodnio-afrykańskiej Polskiej Żeglugi Morskiej — co umożliwiła w ogóle odbycie wyprawy. Otrzymał bezpłatnie za pośrednictwem Związku Zawodowego Prac. Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzane-

go od Zjednoczenia Przemysłu Odzieżowego i od Zjednoczenia Przemysłu Pończosznico-Dzielnarskiego specjalny ekwipunek osobisty przystosowany do tropikalnych warunków. Zjednoczenie Przemysłu Włókienniczego przekazało kompletne wyposażenie w materiały fotograficzno-filmowe produkcji polskich zakładów „Foton”, a Związek Zawodowy Włókiennarzy wyposażył wyprawę w sprzęt techniczny: kamerę filmową, aparaty fotograficzne i maszynę do pisania. Pomocy udzieliła także Katedra Archeologii Uniwersytetu Łódzkiego zapewniając opiekę naukową i udostępniając własny sprzęt naukowo-badawczy. Dzięki temu realne stały się możliwości przeprowadzenia badań naukowych przez studentów na kontynencie afrykańskim.

Organizatorzy wyprawy niezwykle starannie przygotowali się do zaplanowanych badań. Od wielu miesięcy prowadzili w ramach własnych specjalności studia nad wieloma problemami z zakresu afrykanistyki ogólnej. Rozwinięto również dotychczasowe i nawiązano nowe kontakty z naukowymi ośrodkami w Afryce: w Dakarze z uniwersytetem i Francuskim Instytutem Czarnej Afryki, w Konakri z Instytutem Narodowym Badań Naukowych i Dokumentacji, w Abidżanie z Uniwersytetem, w Akrze z Instytutem Badań Afrykańskich.

Wyprawa o charakterze rekonesansowym ma umożliwić zorganizowanie w przyszłości kompleksowych badań terenowych na tym kontynencie przez łódzkie środowisko naukowe. Do konkretnych zadań jakie stoją przed ekspedycją należy m. in. sporządzenie inwentaryzacji wybranych obiektów archeologicznych w terenie. Na jednym z nich w przyszłości podejmie nor-

EUTERPE bez OBLICZA

W drugiej połowie grudnia odbyło się we Wrocławiu otwarcie nowego gmachu Filharmonii. A na otwarcie uroczysty koncert, w którym wykonano trzy utwory kompozytorów polskich, napisane specjalnie na tę okazję. To święto zgromadziło we Wrocławiu przedstawicieli całego świata muzycznego kraju. W ciągu paru ostatnich lat Filharmonia Wrocław ska stała w rzędzie czołowych w kraju. Szerokie rzesze melomanów gromadzą nie tylko cotygodniowe koncerty symfoniczne. Wrocław podjął inicjatywę i realizuje ją konsekwentnie, inicjatywę organizowania czterech festiwałów muzycznych o skali ogólnopolskiej: Wroclavia Cantans, Dni Muzyki Organowej, Festiwal Polskiej Muzyki Współczesnej, Jazz nad Odrą. Ostatnio podjął się organizacji piątego festiwalu. Ogłoszono już, że w lipcu odbędzie się Ogólnopolski Konkurs Śpiewaczy dla uczczenia 150 rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki, we Wrocławiu — Kudowie.

Inicjatywy muzyczne sypią się zresztą jak z rogu obfitości. Nie ma już bodaj ani jednego większego w Polsce miasta posiadającego orkiestrę symfoniczną, które nie organizowałyby ogólnopolskiej imprezy muzycznej. Nie mówiąc już o miastach z taką tradycją, jak Poznań (Konkurs im. Wieniawskiego i Poznańska Wiosna), Kraków czy Bydgoszcz, której wielki dorobek muzyczny jest młodszy od Polski Ludowej, dorobek mają tu Słupsk, Kamień Pomorski, Duszniki-Polanica, Łądek-Kudowa. Nie mówiąc już o festiwalach typu rozrywkowego, piosenkarskiego.

Jest jedno miasto muzycznej ciszy — Łódź. Jedno z bogatszych w placówki muzyczne miast. Miasto posiadające cztery orkiestry symfoniczne, chóry i orkiestry szkół muzycznych, utalentowaną młodzież muzyczną itd. itp. A przecież jedyną inicjatywę ogólnopolską, zorgani zowanie ogólnopolskich spotkań baletowych podjął Teatr Wielki — placówka najmłodsza, najmniej okrzepła, borykająca się jeszcze z wieloma trudnościami pierwszego okresu pracy i działalności.

przyjazd dyrygenta czy solisty — ten decyduje co będzie na koncercie wykonane. Lub co nie będzie wykonane. Klasyk przykład: inauguracja bieżącego sezonu. Miał przyjechać Carlo Zecchi, on narzucił program koncertu. Carlo Zecchi nie przyjechał — program został — zupełnie na inaugurację sezonu nie uzasadniony.

A więc przypadek zamiast konsekwentnej linii repertuarowej Dyrektor Stefan Marczyk powiedział mi:

— Pytają mnie o linię repertuarową. Doprawdy, ja nie wiem co to jest.

Nic więc dziwnego, że program układa się od przypadku do przypadku. Albo gość z Pagartu, albo koncert okolicznościowy i — jakoś to życie płynie. Dlatego Filharmonia Łódzka nie ma żadnego indywidualnego oblicza, dlatego nie przygotowuje niczego czym by się mogła pochwalić przed Polską, czym mogłaby innym miastom zaimponować. Wiadomo, że tam gdzie jest Henryk Czyż, będzie ambitne dzieło oratoryjne, tam gdzie jest Andrzej Markowski — będą nowatorskie dzieła współczesne, lub rewelacyjne wykonania muzyki dawnej, tam gdzie jest Bohdan Wodiczko będzie konsekwentny cykl repertuarowy (na przykład symfonie Beethovna) itd.

Wydaje się, że ideałem naszej Filharmonii jest spokój i bezkonfliktowość. Kierownictwo artystyczne zdaje się nie rozumieć czego od niego chcą. Przecież początki sezonu są u nas zawsze bardzo atrakcyjne — słyszę. — Występuje znakomity solista, znakomite orkiestry Oczywiście, bo wrzesień to miesiąc Warszawskiej Jesieni i zagraniczni goście odbywają tournée po całym kraju. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, by publiczność wylamywała drzwi gmachu Filharmonii na naszych, łódzkich wykonaniach tak jak to robiła podczas występu Czyży z Oratorium Pendereckiego. Poza wrzesniem jest jeszcze dziewięć miesięcy sezonu, które trzeba wypełnić własną inicjatywą, własnymi poszukiwaniami, własnymi eksperymentami. Niech będą czasem nawet nieudane, niech będą dyskusyjne, ale niech będą jakieś. Takie do których ma się osobisty stosunek, które angażują i pobudzają do dyskusji.

Słyszę: przecież prowadzimy akcję audycji szkolnych, prowadzimy dobrze, szkoły chwala nas za to. Brawo. Ale taką akcją prowadzą wszystkie filharmonie



i żadnej nie przychodzi do głowy, żeby postąpić w tym jako argumentem w dyskusji artystycznej.

Sprawa linii repertuarowej jest ważna nie tylko dla słuchaczy jest istotna także dla wykonawców. Koncepcja programowa potrzebna jest również dla szkolenia nawet najlepszego, najbardziej doświadczonego zespołu orkiestrowego. Każdy artysta — muzyk musi ćwiczyć swoje umiejętności stale, doskonalić je wielokierunkowo i z planem.

Niedawno w Filharmonii otwarto salę kameralną. Czy jest jakiś program koncertów, jakiś plan wykorzystania tej sali? Przekazaliśmy ją SPAM-owi, słyszę. Co tam będzie organizował SPAM? No, koncerty kameralne. Nie mam nic przeciwko SPAM-owi, na pewno będzie się starał wypełnić program pozycjami ambitnymi. Ale przecież to sprawa kierownictwa artystycznego Filharmonii — określić charakter tej sali, inspirować SPAM, ukierunkować jego działalność na tej estradzie, jeśli już Filharmonii nie stać na wypełnienie programu własnymi siłami.

Powtórzę raz jeszcze: Łódź ma cztery orkiestry symfoniczne, pięć szkół muzycznych, możliwości ich wyko-

rzystania są ogromne. Ot, dla przykładu, Bohdan Wodiczko zorganizował w Katowicach ogólnopolski przegląd najzdolniejszej młodzieży ze szkół muzycznych. Efektem tego przeglądu są audycje telewizyjne, w których słuchamy utalentowanych uczniów z całej Polski (także z Łodzi) grających z akompaniamentem Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, orkiestry rozrywkowej itd. Znakomita audycja popularyzująca muzykę, zyskująca dla niej nowych słuchaczy. Tymczasem w Łodzi, jedyna inicjatywa Filharmonii podjęta w ubiegłym sezonie dla popularyzacji muzyki: koncerty dla zakładów pracy — upadła po jednym sezonie.

Słyszę, że to z powodu krytycznej oceny koncertów Filharmonii zamieszczanej w łódzkiej prasie. Gdyby krytyczne wypowiedzi w prasie miały aż taką moc, to Opera Warszawska przestałaby już istnieć po tym wszystkim co o niej pisuje Jerzy Waldorff. Dziwną taktyką przyjęło kierownictwo Filharmonii, które żąda od redakcji zdjęcia recenzenta, piszącego od czasu do czasu krytycznie o koncertach, które wnoszą skargi do władz na dziennikarza natychmiast po rozmowie z nim, zanim on sam zdążył zastanowić się co na-

pisze. Dziwna to taktyka i bezprecedensowa w dziejach stosunków: krytyka — placówka artystyczna. Dziwna i do niczego nie prowadząca.

Bo przecież nikomu nie chodzi o to, by dokuczyć i zrobić na złość. Wprost przeciwnie. Wszystkim nam zależy, by nasza Filharmonia uszkała w kraju należne jej miejsce, by się o niej mówiło, by tym co robi, mogła zyskać uznanie nie tylko Łodzi lecz i całego kraju, by na koncerty do Łodzi przyjeżdżali ludzie tak, jak przyjeżdżają do Teatru Wielkiego na „Kniazia Igora” czy „Cosi fan tutte”. Nie uspokajamy się tym, że łódzcy filharmonicy wystąpili w NRD czy Czechosłowacji, choć na pewno dobrze, że wystąpili. Naszą orkiestrę stać na więcej. To jej występy z prawykonańmi, z interesującymi wykonaniami muzyki współczesnej czy dawnej — nie to jest ważne — powinny być dla nas rewelacją i przeżyciem. Niech ta Filharmonia ma jakiś określony charakter, jakiś profil artystyczny, niech przestanie być gładką i bezkonfliktową.

Piszemy to nie po to, żeby zrobić na złość kierownictwu artystycznemu, piszemy to, bo chcemy być z naszej Filharmonii dumni.

malne prace wykopaliskowe Uniwersytetu Łódzkiego. Niemniej ważnym zadaniem jest dotarcie do niektórych grup etnicznych charakteryzujących się tradycyjnością swoich kultur. Pobyt wśród nich pozwoli na zorientowanie się co do możliwości prowadzenia badań stacjonarnych przez zespół etnograficzny. Rozmowy z przedstawicielami ośrodków naukowych w Afryce, wzbogacone przez pobyt w wybranym terenie, sporządzone notatki i szkice rysunkowe oraz pomiary, a także nakręcone filmy poglądowe, fotografia dokumentalna i nagrania magnetofonowe staną się podstawą, po powrocie do kraju, do szczegółowej analizy. W jej wyniku wyłoni się obraz zastygłej rzeczywistości. Dzięki temu możliwe będzie opublikowanie wyników naukowych studenckiej ekspedycji. Ważnym za dniem jest też zebranie w miarę bogatej kolekcji zabytków z zakresu kultury materialnej duchowej i społecznej ludów afrykańskich, które przekazane łódzkiemu Muzeum Archeologicznemu i Etnograficznemu wzbogacą jego rozwijający się Dział Afrykanistyczny.

Z pewnością frapujące jest pytanie, gdzie konkretnie przebywać będzie wyprawa w Afryce. Najogólniej mówiąc, chodzi tu o Afrykę Zachodnią na odcinku od Dakaru w Senegalu po Lagos w Nigerii. Wyprawa spenetruje przede wszystkim wybrzeże Zatoki Gwinejskiej w rejonach: Zielonego Przylądka w Senegalu, miasta Konakri w Gwinei, laguny Ebrie i Grand Bassam na Wybrzeżu Kości Słoniowej, Przylądka Trzech Punktów i miejscowości Tema w Ghanie, laguny Nokoue w Dahomeju. Uwaga ekspedycji skoncentrowana jest również na niektórych obszarach położonych z dala od wybrzeża. Dotyczy to Senegalu, Gwinei i Nigerii. Mimo, że uczest-

nicy ekspedycji AFRYKA-69 dysponują własnym samochodem terenowym — „Willem” z demobilu wojskowego, największe możliwości wyruszenia w głąb afrykańskiego kontynentu zarysowały się w Senegalu. Wynika to przede wszystkim z bardzo ograniczonych możliwości dewizowych wyprawy. Niemniej, dzięki bliskim kontaktom Uniwersytetu Łódzkiego z Uniwersytetem Dakarskim oraz przesłaniu zaproszenia pracownikom naukowym tej uczelni, mianowicie prof. Mauny i Raubere, studencka ekspedycja w czasie swego pobytu w Senegalu uda się z Dakaru w kierunku północno-wschodnim na pustynny płaskowyż Futa Toro rozciągający się na pograniczu Senegalu i Mauretanii. Jeśli możliwości na to pozwolą ekspedycja dotrze także do miejscowości Niani w Gwinei, gdzie ostatnio ekipa archeologów szwajcarskich prowadziła pod kierunkiem dr Filipowiaka — dyrektora Muzeum Pomorza Zachodniego, prace wykopaliskowe ze znacznym sukcesem. Wreszcie, obszarem niezwykle wartościowym i bogatym we wszelkiego rodzaju zabytki archeologiczne są nigeryjskie miejscowości Ibadan, Ofe i Oyo w Prowincji Zachodniej oraz Benin w Prowincji Środkowo-Zachodniej. Do tarcie do nich znacznie podniosłoby walory poznawcze wyprawy i wzbogaciłoby wyniki naukowe.

Należy zwrócić uwagę, że badania w Afryce zapoczątkowane zostały bardzo późno, gdyż główna ich faza przypada dopiero na drugą połowę XIX w. Krótko mówiąc, uwzględniając naturalne przeszkody w poznaniu tego kontynentu jak: słabe rozwinięcie linii brzegowej, ukształtowanie powierzchni o wybitnie jednostajnym krajobrazie, klimat, mała żeglowność rzek, ist-

nienie Sahary itd. 80 procent wypraw badawczych na terenie Czarnego Łądu przypada na lata 1850—1900, co stanowi najwymowniejszą ilustrację twierdzenia, że Afryka jest najpóźniej poznaną częścią świata ze wszystkich kontynentów.

Afryka... olbrzymi, urzekający ląd. Zajmuje powierzchnię około 300 mln km kw., jest więc około 3 razy większa niż Europa i około 100 razy większa niż Polska. Mieszka tu około 250 mln ludzi. Pod względem antropologicznym składa się najogólniej mówiąc z dwóch wielkich ras: negroidalnej (która dominuje na obszarze na południe od Sahary) i europeoidalnej (Afryka Północna). Poza Afrykanami na kontynencie mieszkają Azjaci — głównie Hindusi i ludność pochodzenia europejskiego. Afryka jest kontynentem pełnym kontrastów regionalnych. Jest Afryka Arabska i Afryka Czarna. Pomiędzy poszczególnymi państwami i terytoriami istnieją daleko idące różnice polityczne. Obok państw niepodległych istnieją jeszcze kolonie i terytoria zależne. Obok cesarstwa Etiopii i królestwa Maroka jest kilka państw np. ZRA czy Gwinea, w których przeprowadza się demokratyczne reformy społeczne. Afryka jest lądem ostrych kontrastów i sprzeczności społecznych oraz gospodarczych. Miliony Afrykanów żyją w skrajnej nędzy i nie dojadają, podczas gdy afrykański kontynent jest fantastycznie bogaty. Na kontynencie afrykańskim przeplatają się różne ustroje społeczne i gospodarcze. Istnieją tu elementy wspólnoty pierwotnej, feudalizmu i kapitalizmu. To właśnie współistnienie anachronizmów społeczno-gospodarczych, obok mniej lub bardziej rozwiniętych form produkcji i stosunków między-ludzkich, stanowi jeden z najbardziej charakterystycznych rysów dzisiejszej Afryki.

W Afryce tradycje splatają się z postępem.

Aby w pełni zrozumieć dzisiejszą Afrykę, skomplikowaną problematykę polityczną, społeczną i ekonomiczną, trzeba pamiętać o jej przeszłości. Przez wieki panowało dość powszechne przekonanie, że dopiero wraz z pojawieniem się w Afryce białego człowieka, nastąpiła era właściwego rozwoju tego kontynentu. Najświeższe odkrycia archeologiczne i historyczne, badania etnograficzne przeczą jednak stereotypowej opinii o wiekowej stagnacji ludów Afryki. Znane są artystyczne wyroby z miedzi, złota itd., których technika odlewnicza i doskonałość obróbki przewyższają umiejętności europejskich mistrzów z XV w. Gdy Europa tonęła w ciemnościach wieków średnich, a na ziemiach polskich ustawiano obalone bożki pogańskie, w sercu Czarnej Afryki kwitły murzynskie państwa, a sam Egipt był przecież jednym z najstarszych ośrodków starożytnej cywilizacji. Na długo przed pojawieniem się Europejczyków w Afryce istniały wysoko zorganizowane państwa. W początkowym okresie rozwoju kapitalizmu w Europie ludy afrykańskie pozostawały w tyle za najbardziej rozwiniętymi narodami Europy, natomiast nie były zupełnie opóźnione w stosunku do większości narodów świata, a nawet niektórych z nich wyprzedzały.

Obecnie znamy zaledwie wycinki bogatej afrykańskiej przeszłości. Prawdziwą historię ludów kontynentu afrykańskiego długo się jeszcze będzie odkrywać. Może więc parę kart przeszłości tej części Afryki, do której wyrusza ekspedycja Uniwersytetu Łódzkiego, zapiszą młodzi uczestnicy wyprawy.

Stary PROFESOR

Nie wiem ile miał lat. Był stary, drobny, niski i pomarszczony jak wyschnięty owoc. Włosy miał rzadkie, siwe, więc czernił je dla ukrycia wieku pastą do butów, która puszczała, siniąc skórę i kołnierz koszuli. Był biedny i często głodny. Kiedy zasiadał za katedrą wzbudzał więcej litości niż szacunku. A kiedy przytrafiło mu się burknąć podczas wykładu, wymachiwał rękami, przesuwając niecierpliwie krzesło, szurał nogami i wystraszonymi oczyma wodził po beczelnym, młodym audytorium pewnym swoich zamków. I nie kryjącym swojej wesołości.

Przyszedł do uczelni w trudnym okresie. Niestety, nie należał do grona tych pedagogów, którzy mieli dość wigoru, by porwać za sobą młodzież i dość siły, by panować nad swoimi zamkami. Toteż o ile młodzież tłumnie uczęszczała na wykłady prof. Leśniodorskiego, o tyle w jego przypadku rzecz miała się odwrotnie. Z każdym wykładem ubywało słuchaczy. Aż doszło do tego, że wysłuchiwałem ich sam. Odczekiwałem chwilę, a już ktoś jeszcze nadejdzie, po czym nerwowo przeglądał notatki, zasiadał za katedrą, szurał nogami i zaczynał mówić o swoim ulubionym autorze, o którym wie dłał wszystko, któremu poświęcił całe swoje pracowite życie, z którym kilkakrotnie rozmawiał, którego wielbił — o Wyspiańskim.

Niestety, pamięć mam ułomną. Jak z podziurawionego worka wypadają z niej szczegóły. Gubię je po drodze, a potem gdy chcę jakieś zdarzenie ożywić szukam tych blików życia cofając się jakże często na próżno. W czasie gdy z nim obcowałem Wyspiański był dla mnie pisarzem tak przejrzyście jak pierwszy lepszy naturalista, jak ktoś kogo się rozumie doskonale, kto mówi tym samym językiem tych samych doświadczeń.

Na koniec roku wystawił wszystkim stopnie — jednym lepsze, drugim gorsze, bał się skrzywdzić kogokolwiek. Ale niewiele mu to pomogło. Otrzymał bowiem wymówienie, na które zresztą wyczekiwał ze strachem.

Po wakacjach spotkałem go kiedyś przypadkowo na ulicy. Szedł przykurczony z swoim lichym paltocikiem. Było zimno i padał deszcz. Zaprosiłem go do siebie na studencką kolację i tak się to zaczęło. Przez cały rok akademicki zjawiał się u mnie w sobotę o siódmej wieczorem i do dwudziestej trzeciej, a często i później mówił o Wyspiańskim. Wykładał, przygotowywał się do tych spotkań ze mną z tą samą skrupulatnością z jaką przychodził do uczelni. Przez muzykę słów prowadził mnie ku zrozumieniu twórczości ulubionego poety. Przestał się krępować moją obecnością, wpadał w trans i tylko od czasu do czasu łakomie pożerał przygotowane przeze mnie specjalnie dla niego kanapki. Spieszył się, chciał mi wszystko powiedzieć. — Przyjdzie czas, gdy Wyspiański znów wróci na scenę. Ja tego pewnie już nie dożyję, ale ty, ty musisz być na jego powitanie przygotowany. Egzaminował mnie jak w szkole. Zadawał lektury i sprawdzał czy właściwie je rozumiałem. Byłem mu wdzięczny, chociaż nie bardzo rozumiałem o co mu chodzi, dlaczego tak się spieszy, dlaczego tak mu na tym zależy. Zresztą, czy to było ważne. Wiedziałem, że przyjdzie w sobotę jak zwykle, że muszę się na spotkanie z nim przygotować i zaopatrzyć.

Po wykładzie odprowadzałem go do domu. Mieszkał w pobliżu. I te spacery cieszyły mnie najbardziej. Podczas tych spacerów nie było już mowy o Wyspiańskim, a tematy dowolne, zależnie od naszego nastroju znajdowały się same. Próbowaliśmy

sił, był moim pierwszym sparring-partnerem. Na każdą moją bzdurną myśl odpowiadał rzeczowo i bezlitośnie odstawiając moje braki. Czynił to jednak z taką serdecznością, że nieskrępowanie mogłem wygłaszać wobec niego swoje sądy i opinie. Jeśli trafiałem w sedno zagadnienia, cieszył się jak dziecko, ścisnął za rękę, przystawał na ulicy, brał w ramiona i patrzył mi z nadzieją w oczy, szukając w nich jeszcze czegoś, zachęcając niejako do dalszych wynurzeń. Toteż odprowadzanie przeradzało się w spacer od mojego domu do jego i z powrotem. Aż znużeni żegnaliśmy się w połowie drogi do nowego spotkania za tydzień.

Zaczęliśmy właśnie analizę studium o Hamlecie, kiedy rok szkolny dobiegł końca. Nie był na moim egzaminie końcowym. Oczekiwał niecierpliwie na ulicy wyników gratulował mi pierwszych sukcesów, ale w jego zachowaniu pojawił się smutek. Zalekniiony wypytywał mnie o dalsze plany. Byłem za młody, za zdrowy by się zastanawiał nad źródłem jego niepokojów. Życie wszystkich wokół mierzyłem miarą swoich dwudziestu kilku lat. Świat stawał przede mną otworem. Wpatrzony we własne marzenia zapomniałem o nim. Znikł mi po prostu z oczu. Podpisałem umowę z teatrem w Poznaniu. Spakowałem rzeczy i przed wyjazdem z Krakowa poszedłem się z nim pożegnać. Spotkałem go na ulicy w połowie drogi. Dziś wydaje mi się, że on tam już na mnie czekał, że w tych dniach radosnego upojenia śledził mnie, wypatrywał z daleka, nie śmiąc zakłócić mojej radości.

Przywitałem go pełen winy. On również czuł się skrępowany. Wreszcie z trudem wyszeptał: — wyjeżdżasz tak daleko, jaka szkoda. Nikt nie zrozumie moich notatek. Ty jeden mógłbyś je scalić i wydać, gdy nastana lepsze ku temu czasy. A tak wszystko przepadnie. Praca całego mojego życia pójdzie na marne.

— Ależ, panie profesorze, będziemy z sobą w kontakcie.

— Bardzo źle się stało, że wyjeżdżasz. Bardzo źle. Ty jeden mogłeś... Ty jeden. Uścisnął mi rękę serdecznie i odszedł. Czuliśmy, że płacze. Pochylił nisko głowę, by ukryć przed ludźmi łzy. Stał się mały, jeszcze mniejszy niż był. I jak czarny pyłek zniknął w tłumie pulsujących życiem przechodniów.

Wyjechałem na wakacje. Wkrótce zapomniałem o starym profesorze. Podjąłem pracę w Poznaniu i jak to zwykle bywa w takich przypadkach — urządziłem się w nowym miejscu pracy pochłonięto sporo energii, nie zostawiając wiele czasu do rozmyślań. Po paru miesiącach ocknałem się nieco i wówczas, a jakże, przypomniałem sobie o nim. Dopiero teraz zaniepokoiłem się losem starego profesora. Czy aby nie głodny... Zaczęło mi brakować jego towarzystwa. Postanowiłem napisać list, ale go nie dokończyłem. Za tydzień jadę do Krakowa — myślałem — odwiedzę go i szczerze z nim porozmawiam na temat naszego pożegnania. Czas w pociągu dłużył mi się okrutnie, ale mimo wszystko pociąg zajeżdżał na Dworzec Główny planowo. Szybko załatwiłem swoje sprawy w szkole i pobiegłem do niego. Drzwi otworzyła starszka. — Pan do kogo? — Do profesora. — A to pan nie wie, profesor tydzień temu umarł.

— Umarł, umarł... a co z jego notatkami?

— Wszystko zabrała rodzina.

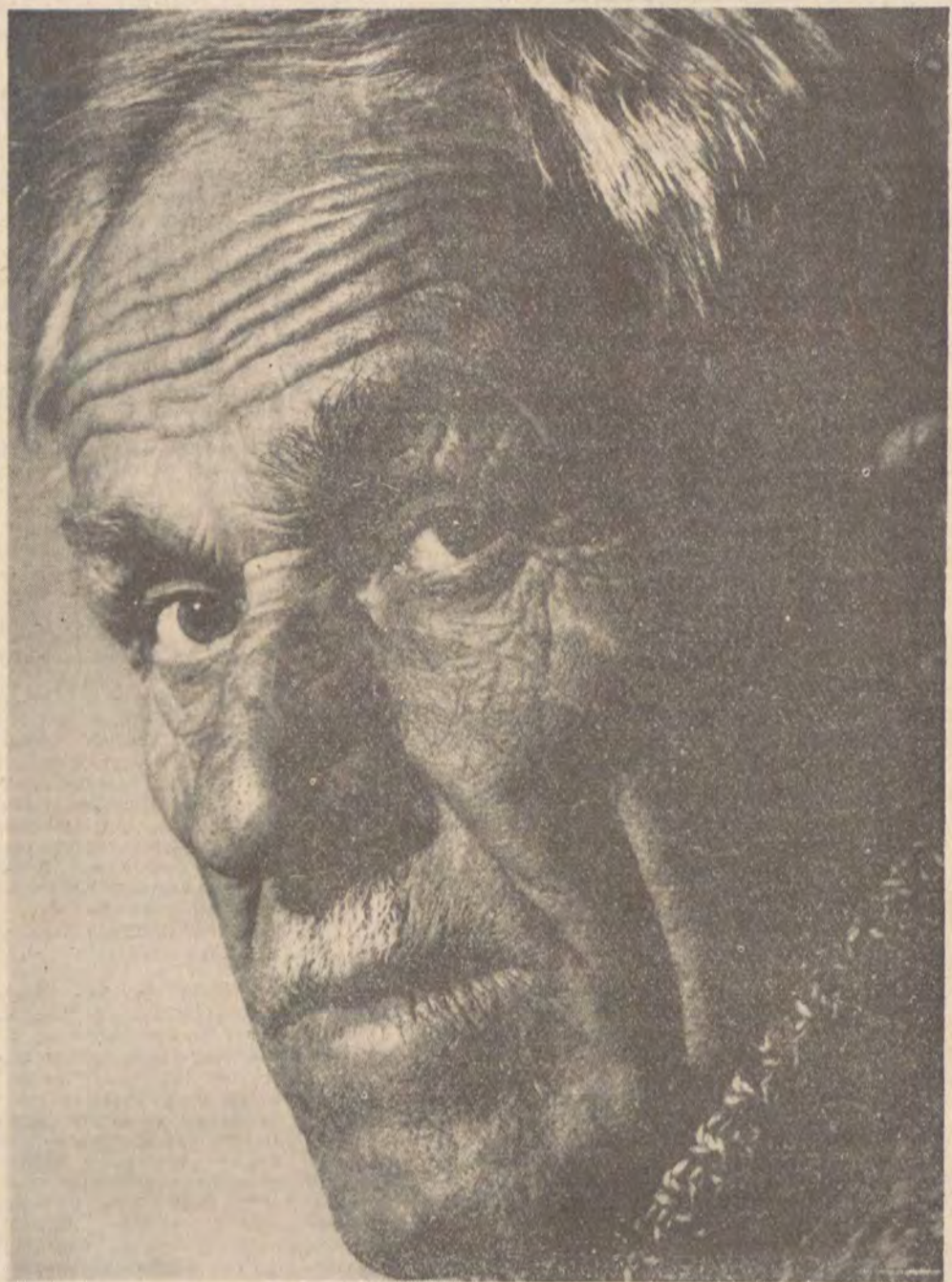
— Gdzie mieszka?

Podala mi adres.

Z wypiekami na twarzy popędziłem pod wskazany adres.

— Proszę pana, po pierwsze my pana nie znamy, a po drugie książki oddaliśmy do antykwarium, a resztę, mój Boże, tyle tam było rupieci, najrozmaitszych papierów, ale jakoś udało nam się to spalić.

Udało im się spalić. Udało im się spalić. Udało im się spalić — przepraszam Cię Profesorze, nie przypuszczałem ani przez chwilę, że tak szybko zechcesz mnie opuścić, że...



WŁADIMIR ŻUKOW

W ŁÓDCE

W moje czterdzieści lat,
w moje czterdzieści zim,
w moje czterdzieści wiosen
weszyły twoje dwadzieścia.
Nie kotysz rzekł. Odejdź od wiosła.
Siadaj. Posłuchamy nocy co zwisa z gajęty.

Rzucę swą troskę w ślepy wiatr,
co przychodzi z nagich przestrzeni.
Zasłania przede mną cały świat
twoje ramię wyjęte z czerni.

Każ bym wrócił do brzegu.
Nie pozwól płynąć z tobą dalej.
W dwudziestą wiosnę bywa niebezpieczny
szept szalony falli.

Wszystko minie, zeschną wiosny,
jak —
nie będziesz nawet wiedziała.
Wciąż jeszcze trzymasz omdlałe wiosła?
Proszę... Odejdź...
Nie miej do mnie żalu.

Przełożył z rosyjskiego WASYL KOCZNOW.

GIENNADIJ SERIEBRIAKOW

IKONA

Była przyćmiona czasem jak sadza,
Kłękaly przed nią wieczory.
Matka z twarzą podobną do odbicia w studni
Malaństwo przytulała rozpaczliwą ręką.
A jednak na strych ją przepędzono.
Znalazła tam świątynię,
W której stał mój zupełnie przyziemny przyjaciel —
Stary, zapomniany rower,
Rdzawo skrzypiący o podróżach.
Kiedyś sen ikony niechętno przerwałem.
Podniosłem ją, przetarłem dłonią —
I wtedy zajrzały mi prosto w serce
Oczy przepełnione troską i trwogą.
Poznałem w tym skrawku przeszłości
Wszystkie smutki nasze doczesne.
Dała je bogom ludzka ręka.

Przełożył z rosyjskiego WASYL KOCZNOW

Dziennik podróży Leszka Rózgi

Krytyka poszukująca skwa pliwie artystycznych konek- sji i stylistycznych parante- li, określa utwory Rózgi, ja- ko genetycznie wynikające z kręgu tradycji sztuki eks- presyjnej i surrealistycznej. Ekspresjonizm miał być po- no punktem wyjścia do od- krycia elementów poetyki surrealistycznej.

— Surrealizm? — mówi au- tor z pewnym zdziwieniem — może w nastroju, klima- cie prac, z pewnością jednak nie w samej literackiej ane- gocie. Zwłaszcza, że kieru- nek ten preferuje zestawie- nie motywów przypadko- wych, rozmaitego rodowo- du, które w nowym kontek- ście tworzą nowe, zaskaku- jące często wartości. Moje kompozycje w ich warstwie literackiej operują wpraw- dzie metaforą, symbolem, u- ogólnieniem, w konsekwen- cji jednak są dość realistycz- nym często nawet drobiaz- gowym obrazem, a ściślej wi- zją rzeczywistości. Są wier- ną rejestracją nastrojów i przeżyć, moim osobistym „dziennikiem podróży”.

W latach 1956—57 powsta- je cykl mozaikowych, czy też, jak chcą inni, architek- tonicznych kompozycji (m. innymi „Karnawał dzieci”, „Kompozycja I”, „Kompozyc- ja IV”). Dadzą one asumpt dla późniejszego, najbardziej pewnie interesującego pod względem zawartości filozo- ficznej i kształtu artystycz- nego ekspresyjnych pejzaży miejskich z lat 1960—63.

Introdukcją, niejako bez- pośrednim wprowadzeniem, do cyklu „Rudery” był okres, który zwać można „naturyz- mem”. Składał się nań szereg studiów „honorujących naturę”, seria kompozycji roślinnych i flory wodnej.

Interesująca wydaje się sfera refleksji tego cyklu. Studium „Kaktusa” (monoty- pia pochodząca z 1960 roku), to nowa artystyczna formu- ła, ujmująca egzystencjalny problem obrony ludzkiej au- tonomii, własnego, niepowtar- zalnego JA przed inwazją „obcych światów”. Jest w tym moment humanistycznej zadumy nad nieustającymi



Leszek Rózga — Podwórko — akwaforta
Fot. A. Idziński

usiłowaniem stworzenia so- bie azylu, w którym czło- wiek nie byłby sam. Cykl studiów naturalistycznych, to myślenie na temat „samot- nych światów”, to metafora odwiecznego konfliktu czło- wiek — licznym, zindywi- dualizowana jednostka ludz- ka a zuniformizowane regu- ły życiowej gry.

W ogóle cała twórczość Leszka Rózgi ma charakter antropocentryczny. Nawet pejzaże miejskie z cyklu „Rudery” ważne są o tyle, o ile baczny obserwatorami, o ile są świadkami życiowych perypetii swoich mieszkańców. Cykl „Rude- ry” stanowią melancholijne pejzaże Łodzi i podlódzkich sennych miasteczek. „Pod- wórko”, „Zmierch”, „Samot- ne dzielnice”. To przedziwne osady koralowe, na polu zmartwiałe, na wpół zastyg- łe w bezruchu oczekiwania. W cyklu tym osiągnął Róz- ga owo szczególne napięcie wizji plastycznej, które nada- je jego utworom tyle siły i uroku. Następuje tu pew- ne rozjaśnienie wizji arty- stycznej: przy jednoczesnym

nasileniu elementów lirycz- nych, anegdota literacka jest czytelna i komunikatywna. Panuje tu klimat melancho- lijnej zadumy i zapatrzenia na świat, który oddala się nieuchronnie, zaakcentowa- ny jest moment refleksji nad przemijaniem czasu.

— „Oswobodziliśmy się już z serwitutów religii, przyrody, filozofia, pedago- gika preferują wolność jed- nostki — wydaje się, że pa- dają ostatnie bariery krepu- jące człowieka. Pozostał je- den problem: czas. Cykl „Ru- dery” stanowi niejako mo- ment klasycznej równowagi między tematem a jego wi- zją plastyczną, charakteru- je go znaczne zdyscyplino- wanie kreski oraz uproszcze- nie i racjonalizacja fabu- ły obrazu.

Równoległe do „Rudery” powstały cykle „Relikty” i „Bezmiary” genetycznie zwi- ązaane z niedysyjszymi „Kak- tusami”. Panuje w nich zgo- ła odmienny nastrój i klimat artystyczny — dominuje tu niepokój, znajdziemy tu na- wet momenty autentycznego tragizmu.

Akwaforty „Ogrody”, „Spleen”, „Obsesje”, z 1962 roku, to ponure wizje gro- bów, fragmentów szczątków ludzkich; „Bezmiar II” i „Bez- miar IV” powstałe w trzy- ła ta później, tworzą przera- żające spektakle życia biolo- gicznego. Obok fascynacji przedmiotem, obserwujemy specyficzną dla artysty kon- strukcję fabuły literackiej oraz dążność do zdolności i wzbogacania tkaniny obra- zu. Rózga odżegnuje się tu od powściągliwości wyrazo- wej na rzecz wielomowności i patosu formy.

Prace z tego okresu są do- skonałym przykładem wir- tuozerii warsztatowej arty- sty, jego wysokich umiejęt- ności w posługiwaniu się bogatym zasobem środków artystycznej wypowiedzi. Obecnie Rózga kontynuuje dwa cykle akwafort: „Agre- sje” i „Przenikania” — szaro- ści płaszczyzny obrazów prze- chodzą tu w czernie, linie stają się coraz bardziej na- pęte i dramatyczne. To na- stępne stronicie osobistego, prywatnego „dziennika pod- róży”.

wiedzielibyśmy — sfrustro- wana swoim marginesowym bytowaniem, pragnie nadro- bić swoje społeczne upośle- dzenie domową nadgorliwo- ścią, chęcią sprostania trud- nym zadaniom wychowaw- czym wobec dorastającej cór- ki, w gruncie rzeczy zadowo- lona jednak i dumna ze swo- jej życiowej misji.

W tym układzie stosun- ków, polegającym na świad- domym podporządkowaniu się kobiety rodzinie, nie wy- czuwamy atmosfery dla głę- bszych rodzinnych konflik- tów, nie podejrzewamy na- wet istnienia ukrytych „kłę- bowisk zmił”, wszystko jest jakoś — rozsądkiem i ser- cem kobiety — po domowe- mu ułożone. Oby tylko zły los nie zagroził z zew- nątrz bezpieczeństwu rodzi- ny, osłanianej uczuciem przez matkę i żonę.

Przez cały cykl opowiadań przewija się motyw, który niejako uwniosła tę codzien- ną krzątaninę i powszednie troski, motyw okupacji, odzy- wający się w każdym opo-

wiedaniu, jako to samo wspomnienie — śmierci mat- ki, mordowanej na oczach córki, które powraca natar- czywie w chwilach moral- nych rozterek. Bezsens tej zbrodni stanowi jakby układ odniesienia, pomocny teraz — po latach — jako życio- wy, drogowy. Straszliwe przeżycie, choć przyblakłe już uczuciowo, stanowi nie- ustające memento, ostrze- gające przed nową wojną, któ- ra jedynie mogłaby zagrozić szczęściu rodziny. Motyw ten wydaje się zresztą nie- przemyślany do ostatecznego, ogólnoludzkiego sensu (jak np. w opowiadaniu „Niemięć”), na skutek czego książka nie jest całkowicie wolna od piętna „zakażenia śmiercią”.

Pomimo wspomnianego u- wzniesienia powszedniości i otwarcia czterech ścian do- mu na dostęp szerszej pro- blematyki, książka Ostrow- skiej kontynuuje tradycję kierunku, który określano nie tak jeszcze dawno temu

PODKA z książkami

„PODRÓŻ WOKÓŁ IZRAELA”
Tytuł tego zbiorku aktual- nych reportaży jest dosyć mylący; kojarzy się z inną książką innego autora — nu- sząc podobny tytuł, zaś nazwisko Andrzeja Zerom- skiego kojarzy się z jego głośną książką poświęconą Izraelowi. W tym wypadku Zeromski spisuje wrażenia i refleksje z podróży do państw arabskich a więc jest to rzeczywiście podróż wokół Izraela w sensie dostów- nym i przenośnym.

Trzydzieści reportaży — część z nich mieliśmy już okazję czytać w prasie — przenosi nas nad Jezioro Gorkkie, do Libanu i Egip- tu, nad Kanał Sueski — w okresie tuż po izraelskiej agresji. Zeromski notuje roz- mowy z ministrami i przed- stawicielami elity umysło- wej, obserwacje z ulicy i bazaru, daje obraz narodu narazim po przegranej bit- wie. Tak właśnie — po przeg- ranej bitwie, bo wbrew le- mu co się usiłuje sugerować na Zachodzie, Arabowie nie przegrali wojny — przegrali po prostu jedną bitwę, zała- kowani zdradziecko i zleniac- ka.

Potrzebna jest ta książka — dobrze, że reportaże Ze- romskiego nie pozostały w rocznikach gazet, że mógł je w postaci książkowej otrzy- mać polski Czytelnik wła- śnie w roku 1969, kiedy na pierwszych stronach gazet roi się znów od informacji o prowokacyjnych, agresyw- nych poczynaniach izraels- kiej soldateski. A jeśli do- dam, że oprócz swag, refleks- sji i informacji o charakterze politycznym znajdziemy w tej niewielkiej książeczce i ciek-awe i zaobserwowane ele- menty obyczajowe, anegdote i przygode, lekkość i swa- dę — natrętne zachwalanie reportaży Zeromskiego nie będzie chyba potrzebne. Rzekł- bym nawet, że to „drugie czytanie”, już w formie książ- kowej daje więcej satysfak- cji niż prasowa prapremie- ra.

J.W.

Andrzej Zeromski „Pod- róż wokół Izraela” PAX — 1968 cena zł 10. —

„ZAPOMNIĆ PALERMO”
W Klubie Interesującej Książki ukazała się powieść francuskiej autorki Edmonde Charles-Roux „Zapomnieć Pa- lermo” — debiut, za który w roku 1966 otrzymała Na- grodę Goncourtów. Akcja powieści, nad którą autorka pracowała sześć lat toczy się w środowisku włoskich emigrantów w Nowym Jor- ku i skupia głównie wokół dwóch osób — narratorki, młodej Włoszki pracującej w redakcji modnego pisma dla kobiet i włoskiego działacza politycznego, największej zresztą indywidualności w po- wieści. Bardzo swobodna, wielowątkowa kompozycja pozwala na przenoszenie ak- cji w odległe czasy i miej- sca. Można przypuszczać, że pewne partie powieści oparte są na motywach autobiogra- ficznych.

Pisarka z pasją demasku- je „amerykański styl życia”, który jest tu symbolem nie- autentyczności i pozorów współczesnej cywilizacji. Sy- cylija i jej mieszkańcy ma- ją natomiast ucieleślać war- tości bardziej trwałe, życie na pewno prymitywne, ale autentyczne. „Zapomnieć Palermo” to proza typowo ko- bleca, rejestrująca z dro- biazgową dokładnością świat rzeczy i szczegółów i przez- to, w pewnych partiach, nie- co rozgadana. Z pewnością jest to jednak proza dobra. Warta bliższego poznania.

B. M.

Edmonde Charles — Roux — „Zapomnieć Palermo” PIW 1968, str. 386, cena 24 zł.

Już w następnym numerze „Odgłosów” po- lecamy do przeczytania:

- „KLUCZ DO GNIAZDECZKA” — Zbigniewa Wojciechowskiego
- „BAJKA O POLSKIM HOLLYWOOD” — Andrzeja Makowieckiego
- „ŻUŁ ŻYLETKĘ JAK ZWYCZAJNY SU- CHAR” — reportaż egzotyczny

Pod skrzydłami opiekuńczego uczucia

Dość rzadka to sposobność obecnie — a przy tym, cóż za ulga! — móc poczytać so- bie utwór rodzimy, ale bez- pretensjonalny, doskonale przylegający do skromnych ambicji autora, który nie czuje się obarczony postan- owieniem przeprowadzenia generalnego obrachunku ze wszystkimi naraz podstawo- wymi problemami epoki i ta- jemnicami bytu, a bierze na warsztat sprawy leżące w za- siegu swojego doświadcze- nia i tylko pragnie dociec ich życiowego sensu.

Tematyka nowej książki Ewy Ostrowskiej*) obraca

się wokół spraw powszed- nich współczesnej rodziny inteligentkiej o pewnych as- piracjach umysłowych, pra- gnącej żyć przyzwoicie, w zgodzie z dobrze pojętym duchem czasu. Może to być, jak w tej książce — rodzi- na łódzka, ale i jakakolwiek inna, wielkomiejska.

Na niewielki rozmiarami tomik składa się cykl opo- wiadań, powiązanych głów- nie osobą narratorki, którym jest zafasowana wypełnia- niem domowych obowią- zków, nie pracująca zawodo- wo żona niezłe sytuowane- go fachowca, matka dwojga dzieci. Nieco chwila — po

innych drobiazgów, stwar- żających pozor autentyczności przedstawianych spraw.

A szkoda, bo Ostrowska jest subtelny i wnikliwym obserwatorem życia codzien- nego, potrafi przekonać, że składa się ono ze spraw niebłażych społecznie i god- nych uwagi literatury, jak choćby świat bohaterki dojrze- wającej dziewczyny. Zachow- ując chwałebny umiar i poczucie proporcji, autorka jednak psuje niekiedy har- monię stosowanych środków jakimś jakby serwitutami wierności wobec portretowa- nych przedmiotów observa- cji. Nie jest to wina czyta- jącego, jeśli zwiódł go taki pozor...

Ale nade wszystko — cóż za ulga być oprowadzanym przez przewodnika co zna- sścieżki, którymi chodzi.

*) Ewa Ostrowska. Ptaki na nie- bie. Wydawnictwo Łódzkie 1968, str. 124.

Wszystko o SERCU

W styczniu br. w II Klinice Chirurgicznej AM w Łodzi dokonano pierwszego w Polsce przeszczepu serca. Transplantacja poprzedzona była półtorarocznymi przygotowawcami, które rozpoczęto długotrwałymi i złożonymi doświadczeniami na zwierzętach. Wyniki tych prób upoważniły zespół kardiocirurgów do zastosowania nowej metody w terapeutycznej praktyce kliniki, wyspecjalizowanej w kardiologii, szczególnie zaś w operacjach na otwartym sercu. Kierownik kliniki — prof. dr med. Jan Moll jest współtwórcą pierwszego w Polsce aparatu zwanego płuco-sercem, który przejmuje na czas operacji podstawowe czynności organizmu — krążenie krwi i oddychanie — umożliwiając chirurgom wykonywanie zabiegów na wyłączonym przez dłuższy czas z pracy sercu.

takiego zabiegu? Jeden, generalny: przeszczep serca stosuje się w tych wypadkach, w których wszystkie inne metody — także leczenie operacyjne — nie rokują nadziei na poprawę.

BIORCA I...

Przez kilka tygodni w II Klinice Chirurgicznej AM w Łodzi leczono T. Z. 34-letni mężczyzna, pochodzący z woj. bydgoskiego od 15 lat chorował na serce. Ciężka niewydolność krążeniowa, obrzęk płuc i kończyn, były objawami bardzo ciężkiego stanu. Pacjent zakwalifikowany został do operacji na otwartym sercu, chociaż szansa jej skuteczności nie była duża. Chory zgadzał się na każdy sposób leczenia podając poważną argumentację, tragiczną w kontekście jego życiowych warunków: rodzina — nie traktowała go jako chorego lecz oceniała stan jego zdrowia pod kątem przydatności do pracy. Poinformowany o ewentualności wymiany serca pacjent zgodził się bez wahania. To był biorca. Jeden z wielu chorych, leczących się w tej klinice i praktycznie kwalifikujących się do przeszczepienia serca.

...DAWCA

Jerzy Stawski zmarł na skutek nieodwracalnych zmian mózgu, wywołanych ciężką chorobą neurologiczną. Karetka reanimacyjna przywiozła go ostatniego dnia grudnia z kliniki neurochirurgicznej na oddział reanimacji w II Klinice Chirurgicznej. Zgon niewątpliwy, ale podjęto reanimację i kontynuowano ją przez pełne cztery doby. Bez efektu. Czynności mózgu były bezpowrotnie wygaszone. Akcją serca i oddechu podtrzymywano sztucznie. Wobec perspektywy wątpliwej skuteczności zabiegu u przygotowywanego do operacji na otwartym sercu T. Z. pomyślano o ewentualnym przeszczepieniu serca zmarłego niemal beznadziejnie choremu pacjentowi. Zebrała się komisja kwalifikująca obu kandydatów do transplantacji. Przeprowadzone badania rokowały dużą szansę na przyjęcie się przeszczepu.



Fot. A. Wach

nej, prawnej. Prof. Moll, który przyjechał z Zakopanego na wezwanie doc. K. Rybińskiego został wszystko przygotowane do przeprowadzenia transplantacji, ale jeszcze rozmawiał z rodziną dawcy i zwrócił się do prokuratora miasta. Ten rozstrzygnął wątpliwości na rzecz wykorzystania szansy uratowania T. Z. drogą przeszczepu serca.

PRZED ZABIEGIEM

...podjęto w całej klinice przygotowania uwzględniając głównie stworzenie warunków odpowiednich dla zabezpieczenia pacjenta po operacji. Opracowano dokładny plan działania uzupełniając go rysunkami, szkicami sytuacyjnymi itp. Z całą precyzją lokalizowano aparaturę, sprzęt i inne przedmioty składające się na wyposażenie czterech pomieszczeń, z których przeniesiono oddział dziecięcy tworząc z nich izolowany blok pooperacyjny wraz z małą salą zabiegową. Pielęgniarki były przygotowane do pełnienia nieprzerwanego przez kilka dni dyżuru w pełnej izolacji. Nawet ich bieliznę osobistą poddano zabiegom dezynfekcyjnym.

2 stycznia zamknięto blok operacyjny przeprowadzając w nim szczególną dezynfekcję. Na ewentualność przeszczepu w pogotowiu były dwie sale operacyjne — jedna dla zespołu dawcy, druga dla zespołu biorcy. Na tej ostatniej ustawiono pod promieniami lampy bakteriobójczej, specjalnej konstrukcji łóżko-wózek. Na wypadek innej formy operacji przygotowano pełny zestaw zastawek, protez naczyniowych i szwów.

OPERACJA

Po kilkunastu minutach od chwili otwarcia klatki piersiowej pacjenta T. Z. pada oczekiwane w takim napięciu hasło „trans-

plantacja”. Bezpośrednio oględziny serca potwierdziły konieczność jego wymiany. Zesół dawcy pobiera serce, którego przydatność do podjęcia pracy w drugim organizmie ocenia doc. Stengert. Serce wszywa w miejsce wyjętego prof. Moll. Jest to najtrudniejszy i najdłuższy trwający moment operacji. Przez cały czas jej trwania zespół pracowników laboratorium co kilka minut wykonuje około 20 badań prób biorcy dla określenia czynności funkcji życiowych organizmu, którego oddech i krążenie przejął aparat płuco-serce.

Po godz. 17 nowe serce podejmuje pracę w piersiach biorcy. Prawidłowy rytm utrzymuje się ponad 2 godziny. Potem słabnie. Opory, które powstały w wyniku choroby także w płucach dawcy były za duże do pokonania.

WARUNKI I ...WARUNKI

Wiadomość o pierwszym w Polsce przeszczepie serca rozeszła się błyskawicznie dzięki aktywności dziennikarzy, których obecność gdzieś na zapleczu kliniki podkreślił w sensacyjnej relacji jeden z nich. Opinia publiczna podjęła dysputy i polemiki. Zaczęło się środowiskowe ścieranie poglądów i „urabianie” określonych interpretacji. Uraściły nagle do rangi hamletowskiej wyrazistości pytania: czy należało to zrobić? Czy jeżeli człowiek „właściwie nie żyje”, to znaczy, że rzeczywiście nie żyje i można było od niego pobrać serce. Dlaczego ratowano go tylko 5 dni, jeżeli były wypadki, że po dwóch tygodniach przywracano zmarłych do życia? Dlaczego nie czekano na skonstruowanie sztucznego serca?...

Ignorancja podsycana „fachowymi” komentarzami znalazła właściwy odpór w opinii

Do początku XX wieku uważano, że w przypadkach wszelkiego rodzaju zranień serca i jego wad chorobowych medycyna, a zwłaszcza chirurgia, jest bezsilna. Ten pogląd wyrażały autorytety medyczne i chirurgiczne. Sławny angielski chirurg Paget twierdził w ostatnich latach ubiegłego stulecia, że: „serce nigdy nie będzie przedmiotem zabiegów operacyjnych. Z tym musimy się pogodzić”. Pierwsze operacje serca przeprowadzono w latach dwudziestych naszego stulecia (w Anglii, Francji i Niemczech), ale były to zabiegi nie wymagające zatrzymania akcji serca. W czasie II wojny światowej dokonywano coraz częściej prób operacji serca u rannych a po wojnie chirurdzy przystąpili do operowania serca w wypadkach jego wad.

Najpoważniejszym problemem operacji przeszczepienia serca nie jest sfera techniczna zabiegu, (podobna do innych operacji na otwartym sercu), lecz zgodność tkankowa biorcy i dawcy i związana z nią bariera immunologiczna czyli wytworzenie się ciał odpornościowych w organizmie. Podobnie jak w chorobach zakaźnych przebiegają procesy zwalczające w tym wypadku nie infekcję bakteryjną lecz obce tkanki w postaci serca. I tu tkwi przyczyna odrzucenia przeszczepu. Zgodność tkankowa (klasycznym jej przykładem są bliźnięta jednojajowe) występująca także pomiędzy obcymi za pełnie osobnikami daje duży stopień gwarancji przyjęcia się przeszczepu. Metody określające cząściowy przynajmniej stopień zgodności tkankowej wykorzystuje się przy przeszczepianiu nerek.

Formalnie wszystko było w porządku, ale pozostały wahania natury moralnej, etycz-

CZEKAM
NA
ODMOWĘ...

... Godzina zaledwie dziewiąta rano, a już nadspodziewanie gęsty tłum, ścisk i poszturchiwania. — Nie denerwuj się! — woła do mnie Jacques — Tu nieraz dochodzi do śpięć i zaczynają się prawdziwe bójkii! Przepycham się uważnie, ale

gdzie tam, ktoś trafia mnie lokciem w spłot słoneczny. Przez moment czuję się, jak bokser oszołomiony celnym ciosem Obok, mały człowieczek o dobrodusznym wyglądzie, rzuca się nagle do przodu, jak grający w rugby. Iluż tu ludzi zebrało się dzisiaj na ulicy Reamura przed gmachem redakcji Franca Soira? — Setki — mówi z przekonaniem Jacques. — A w ubiegłym tygodniu było ich tu co najmniej tysiąc. Wmieszany w gęsty tłum płynę wraz z nim do celu... A cel, tuż tuż, przy ścianie gmachu: kiosk z gazetami. Aż trzeszczy pod naporem ludzkich ciał. — Panowie, nie tłoczcie się — słychać głos sprzedawcy. Gazet starczy dla wszystkich!... Usiłuję ocalić kioski i pierwsze wydanie dopiero co otrzymanych gazet z ogłoszeniami o pracy. — Wszyscy ci ludzie — to bezrobotni. Wielu spośród nich wychodzi tu od godzin nocnych. Chcą

być pierwsi przy kiosku, liczy się tu każda minuta... — Widzi pan — mówi Jacques — w ten sposób wygrywamy godzinę lub dwie w porównaniu z tymi, którzy kupują gazetę w swojej dzielnicy. Widzę tu mnóstwo młodzieży, Jacques ma 18 lat. To chłopak z z paryskiego przedmieścia. Szuka pracy. Posuwając się w długiej kolejce po gazetę, zdążył mi wiele opowiedzieć. Wreszcie jesteśmy przy kiosku. Jeszcze kilka pchnięć lokciami i wyciągam gazetę z paczki. Jacques z uwagą rozkłada piśmie i, podobnie jak inni chłopcy, odszedłszy kilka kroków na bok, pilnie wertuje kolumnę ogłoszeń. Doprawdy, scena przywołująca na pamięć widmo straszliwych czasów bezrobocia z trzydziestych lat głębokiego kryzysu ekonomicznego. — Bezrobocieli! To słowo wyziera dziś coraz częściej i częściej z zamkniętych, zimnych, codziennych informacji prasowych: „W Caranton firma „Gloria” zwolniła 30 o-

sób”. Administracja przedsiębiorstwa bryki w Turquanne potwierdza, iż 200 osób straciło pracę”. „Dyrekcja huty stali w Enfie informuje o zwolnieniu 400 osób”. — „NIE WIDZĘ PRZYSZŁOŚCI...” Czy to zdanie znów znajdzie się na pierwszym miejscu w słowniku potocznej rozmowy ludzi pracy? W ministerstwie spraw społecznych powiedziano mi: „Na pierwszym miejscu — nie, ale, niestety, na jednym z czołowych: 240 tysięcy zarejestrowanych bezrobotnych, a faktycznie — 450 tysięcy bezrobotnych, z tego 100 tysięcy młodych chłopców w wieku od 17 do 21 lat. Jest to znacznie mniej, niż w innych krajach, choć w ostatnim roku liczby te znacznie wzrosły. Jedną z przyczyn — to hamowany wzrost produkcji...” — Być młodym nie jest lekko — mówi Jacques. — Nie wiemy, dokąd zmierzamy. Chcielibyśmy wejść

w życie ale nam nie pozwalają. Nie widzę przed sobą przyszłości. Młodym ludziom z rodzin robotniczych przychodzi wszystko najtrudniej. Muszą się rozstać ze szkołą wcześniej, niż młodzież z innych środowisk i wcześniej stawać się dorosłymi. — Dobrze — mówi Jacques — jeśli istnieje możliwość kontynuowania nauki. A jeśli nie? — Gdy kończy pan 15 lat, rodzina, jeżeli jest wielodzietna, traci część zasiłku. W 16 roku życia nie otrzyma pan nawet zasiłku na opłacenie leków, w razie choroby. A jeżeli, w tym wieku, jeszcze pan nie pracował, to nie otrzyma pan również zasiłku dla bezrobotnych. W najlepszym razie będą panu wypłacać przez kilka miesięcy po 150 franków, pod warunkiem, że przynajmniej przez pół roku będzie pan figurował w rejestrze urzędu zatrudnienia. Krótko mówiąc, przyjdzie na świat tych młodych ludzi było tak pożądanym dla społeczeństwa,

najbardziej ceniącego postęp medycyny środowiska — robotniczego. Opinię tę wyraziła przede wszystkim rodzina dawcy, a następnie żona „Ełanu” — fabryki, w której pracował J. Stawski.

Usiłowania zmierzające do skonstruowania sztucznego serca, które mogłoby w powodzeniem zastąpić prawdziwe — trwają od wielu lat na całym świecie. Nie udało się jednak do tej pory skonstruować idealnej protezy. Prototyp zastosował w 1966 r. amerykański chirurg dr de Bakay z Houston: wszczepił umierającemu mężczyźnie protezę serca. Funkcjonowała ona 5 dni. Kilka miesięcy później częściową protezę wszczepił 37-letniej kobiecie. Po 11 dniach serce chorej podjęło normalną pracę i protezę wyłączono. Wszczępanie sztucznych zastawek i częściowa wymiana naczyń jest powszechnie stosowana. Pierwszy w Polsce wszczepił sztuczne zastawki kilka lat temu (w 1965 r.) prof. dr Jan Pruszyński z Kliniki Chirurgicznej WAM w Łodzi. Próby skonstruowania pełnej protezy serca przeprowadza się także w Łodzi.

Pamiętam operację — jedną z pierwszych w kraju — przeprowadzoną przed wielu laty w tejże klinice przez ówczesnego jej kierownika prof. Jerzego Rutkowskiego. Zabieg przebiegał z zastosowaniem nowatorskiej metody — hipotermii — to znaczy w obniżonej temperaturze ciała (stan podobny do snu zimowego, w którym słabnie aktywność wszystkich czynności życiowych organizmu). Prof. Rutkowski atakowany był za nowatorskie, zbyt ryzykowne zdaniem niektórych lekarzy, metody. Po zgonie Washkowskiego prof. Rutkowski — nestor chirurgów polskich — światowy autorytet — powiedział: „Nie tylko 18 dni, ale nawet już pół godziny jest sukcesem chirurgii i obietnica, że godziny zamienia się w dni, miesiące i lata. Była to odpowiedź na pytanie: czy przeżycie 18 dni z przeszczepionym sercem jest sukcesem medycyny. Życie dr. Blaiberga jest potwierdzeniem sukcesu medycyny. Praktyka będzie utwierdzać w przekonaniu o celowości nowej metody. W klinikach kardiologicznych w Polsce, w Łodzi, na całym świecie leczy się pacjentów — w wielu przypadkach bardzo młodych, którzy cierpią na nieodwracalne zmiany serca. Ci ludzie skazani są na śmierć. Jednocześnie w klinikach i oddziałach szpitalnych umierają ludzie (najczęściej w wyniku obrażeń odniesionych w wypadkach i katastrofach), których serca mogłyby zastąpić zniszczone serca umierających. Szczególnie tragiczne jest to w wypadkach nieuleczalnie chorych dzieci. Dramat tkwi także w beśmielności lekarzy, którzy mimo swej wiedzy, umiejętności i ofiarności muszą ustępować przed siłą choroby. Czy powinni czekać na skonstruowanie sztucznego serca?

Stwarza się jeszcze wokół metody transplantacji, która jest także ratunkiem dla ludzi z rozległymi zmianami pozawałowymi, barierą etyczno-prawnej natury. Powyższe fakty są dostatecznie silne w swej milczącej wymowie, żeby zburzyć te bariery i wytworzyć klimat, w którym znani nam z odpowiedzialności, wiedzy, doświadczenia i etyki lekarze będą mogli podejmować słuszne decyzje dla ratowania ludzkiego życia. Ambicją naszego miasta powinno być stworzenie zespołowi II Kliniki Chirurgicznej AM idealnych warunków rzeczowych i moralnych do kontynuowania przeszczepów serca. Metoda transplantacji została zaakceptowana w wypadkach przeszczepów nerek, wychodzi z doświadczeń w przeszczepach wątroby i płuc, daje nadzieję na ratowanie i przedłużanie życia. A serce? Właśnie serce jest tym organem, którego nazwa stanowi rdzowód najlepszych uczuć. Biorców i dawców. Potencjalnie każdy z nas jest jednym i drugim.

TADEUSZ SŁUPECKI

Polesie, to dzielnica Łodzi najgorzej wyposażona w świetlice. Nie posiada zakładowych, dzielnicowych domów kultury, ani żadnych placówek związkowych tego typu, otwartych dla okolicznych mieszkańców. Dlatego w pracy kulturalno-oświatowej bazuje się tam na świetlicach społecznych. Jakże te świetlice na Polesiu są, jakie przeżywają kłopoty i jaką pomimo tego pełnią tam rolę? Czy są zjawiskiem społecznie pozytywnym, czy — jak się niekiedy słyszy z ust starszych ich sąsiadów — wprost odwrotnie?

Oto świetlica na Lublinku, przy ul. Zamiejskiej. To już dalekie peryferia Łodzi. Świetlica jest biedniutka, mieści się w drewnianym baraku. Większy pokój na parterze i dwa mniejsze na pięterku. Jej opiekunką społeczną jest Zuzanna Pirogowa. Posłuchajmy, co Pirogowa mówi o sobie:

— Czym się zajmuję? Niech pan spyta raczej, czym ja się tu nie zajmuję. Do świetlicy przychodzi paru dorosłych, ale głównie dzieci i młodzież. No to, jak w przysłowiu, dla każdego musi być coś miłego. Jedni przychodzą na bilard, inni na warcaby lub szachy, a jeszcze inni, latem, na boisku, wyżywają się w piłce nożnej lub w siatkówce. Przychodzą na telewizję i potańcówki, jakie odbywają się tu pod moim okiem. Przychodzą na zebrania samorządu młodzieżowego i dziecięcego. Na odczyty prelegentów z Łodzi i na dyskusje. No to niech pan sam powie, czy tu można być tylko opiekunką świetlicy? Tu trzeba być wszystkim. Trzeba umieć uczyć i szacunku dla publicznej własności i zamilowania do czystości. Dlatego świetlicę sprzątają po sobie same dzieci. Tych, którzy zachowują się w niej niewłaściwie, karzę wpisaniem na specjalną kartkę papieru, wiszącą na ścianie. Czasem muszę być jeszcze bardziej energiczna, bo ani dzieci ani młodzież nie są aniołami. Kiedyś np. zerwali mi znad drzwi świetlicy drewniane listwy i gdzieś schowali. Wieczorem przychodzą do mnie i mówią: „Pani otworzy świetlicę”, „Nie otworzę”, powiadam, „zreperujcie wpiersz te listwy”. „Pani otworzył!” nalegają. „Ani mi się śni!” ucinam krótko. No i rychło listwy zostały przybite przez kogoś na swoim miejscu. Czasem przemawiam im do rozumu dowcipem. Kiedyś latem patrzyłem przez okno i co widzę? O parę metrów od świetlicy, jak kury na grzędzie, przykucało kilku 10-letnich smyków. I choć świetlicowy regulamin, który sami opracowali, zabrania im palenia, cmią po koleji papierosa. Naraz widzę, jak jeden szturcha łokciem drugiego i mówi: „Ty, co się tak długo „sztachasz, daj popolić!” A tamten nic, więc ten pierwszy znowu to samo. Więc ja, zamiast jakby to niejedna matka zrobiła, im nawymyślać, wychylam się z okna i pokpiwam: „No, dajcie mu „popolić”. Nie widzisz, że z tej przagnięczki nawet zapominał, że mówi się popolić?” Żeby pan wtedy widział, jak ci smarkacze stamtąd przyskaki! Podobnie jest z wódką wśród młodzieży. Na potańcówki w świetlicy im pozwalałam, ale na żadne popijawy — nie. „Czytaj — powiadam — rycerzu, regulamin, który żeście sami dla siebie opracowali. Gdzie tam stoi, że w świetlicy wolno pić alkohol?” I dorosłym na Lublinku też się chyba przydaje. Nie tylko, gdy szukuję im występy artystyczne, albo paczki z prezentami dla dzieci na Dzień Dziecka. Bo ilekroć przyjdzie ktoś w sprawie podania dla urzędu — napiszę, przyjdzie po poradę — poradzę.

Ulica Zamiejska, to właściwie wieś, włączona w obręb Wielkiej Łodzi dopiero po wojnie. W tym pustkowiu, gdzie istnieje tylko jeden sklep, sprzedający także wódkę, ta społeczna świetlica jest niezbędna jak uliczna lampa. Niezbędny jest ten barak, a w nim skromny telewizor, mały bilardowy stół, warcaby. Kilka półek z książkami, parę małych stolików z gazetami. Urządzone czasem odczyty i dyskusje. Niezbędna jest także ta kobieta; która tu jest bibliotekarką i opiekunką i umie sobie radzić z cudzymi dziećmi i która w tym co robi — choć to porównanie banalne —

jest tu także podobna trochę do świecącej lampy.

Stare Złotno. Także peryferia Łodzi. Tu również działa świetlica społeczna, dla odmiany w murowanym budynku strażackiej remizy. Opiekuje się nią nie jeden człowiek, jak na Lublinku, lecz młodzieżowy zarząd. Korzysta z niej młodzież, pracująca w gospodarkach swoich ojców lub mieszkająca u nich lecz zatrudniona już w łódzkich fabrykach.

Młodzi ludzie właśnie schodzą się powoli do świetlicy. Jest godzina 19 i większość z nich dopiero niedawno powróciła z pracy. Wchodzimy do obszernej sali, którą jednak zawałają dokoła brudne drewniane stoły. W tej świetlicy, inaczej niż na Lublinku, telewizor otrzymali całkiem niedawno. Nie ma tu bibliotecznych półek z książkami, ani stolików, przy których można by poczytać tygodniki. Nie ma w niej nic oprócz ping-ponga. Są tylko dziecięsi brudnych stołów, zagranych sałami, do konsumpcji na zabawach, organizowanych przez miejscową Straż Pożarną, po których dzielni strażacy każą sprzątać sałę młodzieży, pragnącej w niej pograć w ping-ponga. W młodzieży zaś potrzeba własnego kąta jest tak silna, że godzi się nawet na to sprzątnięcie sali po cudzych zabawach. Za to w chłodne miesiące roku

Jaka jesteś świetlico?

może grać w niej w ping-ponga, w ciepłe — na pobliskim boisku — w piłkę nożną. Ta młodzież prowadzi próby 7-osobowego zespołu muzycznego i nawet w deszcz przyjeżdża na rowerach na dyskusje i odczyty, urządzane tu przez pracowity Referat Kultury DRN Łódź-Polesie.

Aleja 1 Maja 88. Tu świetlica, dla odmiany, mieści się w suterenie wysokiego domu. Schodzimy w dół po piwnicznych schodach, potem jeszcze wąski piwniczny korytarz, drzwi, zamykane zwykle na klódkę. Do świetlicy należą dwie odrębne sutereny. W mniejszej paru młodych ludzi rozgrywa zajadłe mecze hokeja na lodzie. Oczywiście, przy pomocy figurek gry, którą gdzieś przeznaczono na złom, a którą oni sami sobie wyreperowali. Druga suterena tworzy coś w rodzaju sali, którą młodzi ludzie pięknie wyremontowali sami. Opiekunicy Referatu Kultury w nagrodę wystarał się dla nich o telewizor, zaprasza ich na próby generalne premier teatru Jaracza.

Trzy jakże od siebie różne świetlice i wszystkie trzy potrzebne. Podobnie jak pozostałe z liczby 28 świetlic społecznych tej dzielnicy Łodzi, którymi opiekuje się Maria Kałużńska, kierowniczka Referatu Kultury DRN Łódź-Polesie, przydzielając im fachową pomoc w osobie trzech ofiarnych instruktorów.

Cechą charakterystyczną świetlic społecznych jest z reguły lokalizacja w pomieszczeniach „wygospodarowanych”. W barakach, w suterenach, na nie ogrzanych pod daszkiem, adaptowanych dla celów świetlicowych. To utrudnia ich pracę. Tam jednak, gdzie one powstały, chodzi o to, aby istniały w ogóle. Gorzej, że nie zawsze mają one tak troskliwą opiekunkę, jak Pirogowa na Lublinku i tak sprawny młodzieżowy zarząd jak na Starym Złotnie. Często

brak im społecznych opiekunów, którzy łączyliby w sobie potrzeby pracy społecznej z właściwymi kwalifikacjami do działalności kulturalno-oświatowej. Np. jedną ze świetlic na Polesiu opiekuje się rencista, w pracy społecznej bardzo ofiarny, pozbawiony jednak smaku artystycznego. Dzieci tam przychodzące, zamiast pięknej poezji — uczą się wierszowanej szmiry. A jednak dochodząca tam instruktorka musi działać w „rękawiczkach”, aby broń Boże nie urazić ambitnego rencisty. Podobnie zachowują się wobec niego wszyscy, łącznie z Komitetem Blokowym. Bo jeśli rencista się rozgniewa i odejdzie, wtedy z braku innych kandydatów na jej społecznego opiekuna, trzeba będzie świetlicę zamknąć. I dzieci, uczące się teraz w świetlicy kiepskich wierszyków, mogłyby na ulicy uczyć się rzeczy znacznie gorszych.

Inny problem świetlic społecznych, to konflikty pokoleń. Różnice w gustach, różne u starych i młodych zamiłowania do spędzania wolnego czasu. Dlatego w tych małych świetlicach, zwykle jedynych w okolicy lub w rejonie kilku ulic, toczą się nieraz zacięte walki o ich charakter. Czasem młodzież nie wpuszcza do „swojej” świetlicy emerytów, (np. przy Al. 1 Maja 88), to znow emeryci bronią „swoją” progu przed młodzieżą. Trzeba otwarcie stwierdzić, że opiekunowie społeczni często są dalecy od typu opiekunki społecznej, jaki reprezentuje Pirogowa z Lublinka. Nie rozumieją młodzieży, razi ich „młodzieżowy” styl myślenia, bycia i rozrywek, przy tym nie posiadają często ani ochoty ani kwalifikacji do prowadzenia nielatwej pracy świetlicowej z młodzieżą. Uskarżają się także na Referat Kultury, że „narzuca” im pracę z tą młodzieżą. Że pragnie uczynić pedagogów pracy świetlicowej z ludzi, którzy często z ulgą odetchnęli od kłopotów wychowawczych z własnymi dziećmi i marzą o uczynieniu z tych świetlic tylko przybytku spokojnej starości. Stąd pretensje, żale, skargi, wnoszone nieraz przez sąsiadów tych świetlic. Pretensje nieraz nawet w pewnym stopniu słuszne lecz czasami wprost zabawne. Jak w przypadku wspomnianej świetlicy przy Al. 1 Maja 88, gdzie niemal jako zbrodnie wypominano młodym fakt, że pewnego dnia 5 chłopców opuściło świetlicę „dopiero” o godzinie 23, a przy tym jeden z nich, szczególnie widać zbrodniczy, „wychodził z gitarą”.

Do tego musimy jeszcze dodać niedostateczne wyposażenie tych świetlic w świetlicowy sprzęt, bo jak na razie, egzystują one w dużym stopniu dzięki oparciu o społeczny wysiłek, skromne finansowe możliwości Referatu Kultury i problematyczną „pomoc” zakładów pracy. I tak otrzymujemy z grubszą obraz minusów i kłopotów, jaki miastu stwarza ich istnienie.

A jeszcze?

Najważniejszy to ten, że świetlice społeczne w chwili obecnej w ogóle istnieją. Zwiększa na Polesiu, gdzie nie ma zakładowych ani dzielnicowych domów kultury, nie ma też świetlic związkowych, dostępnych dla okolicznych mieszkańców. Wprawdzie świetlice społeczne — z braku funduszy i etatowych pracowników — na ogół nie prowadzą ciekawszych form działalności kulturalno-oświatowej, ale mimo to swą rolę spełniają. Odciągają młodzież z ulicy, pomagają w ten sposób likwidować plagę chuligaństwa. Budzą w młodych instynkty społeczne, zaspokajane czasem naprawą starych instrumentów czy gier, czasem remontem świetlicy lub choćby troską o codzienny w niej porządek. Pozwalają im na niezbędne ich wiekowi rozrywki pod opieką starszych lub wypróbowanego zarządu młodzieżowego. Ułatwiają im udział w spotkaniach z literaturą i w odczytach, na które gdzie indziej by po prostu nie przyszli. Czy wobec tego istnienie tych świetlic posiada swój społeczny sens?

Na to pytanie można odpowiedzieć tylko „tak”. Natomiast odpowiedź na pytanie, jak pomóc świetlicom społecznym, aby zwiększyć ich społeczną rolę, to już temat do osobnych rozważań.

że mogą zginąć, zniknąć z powierzchni, a w kraju nie będzie przez to ani lepiej, ani gorzej. Albowiem wszyscy oni natrafiają na całkowitą obojętność...

Odeszliśmy kawalek dalej, gdyż falujący tłum wciąż jeszcze okupował ulicę. Dołączył się do nas chłopak z długą, falującą czupryną. Jacques przedstawił mi go. To Roger z Ici-le-Mouline z którym sam poznał się przypadkiem w biurze pośrednictwa pracy. Obaj zatonęli w lekturze ogłoszeń.

Ojciec Jacquesa jest robotnikiem, marzył, żeby syna wyszkalcić. Jacques wstąpił do liceum, cała rodzina przyszła mu z pomocą. Starsza siostra zaczęła pracować, mając zaledwie 17 lat. Ale takie poświęcenie nie mogło trwać wiecznie.

— Gdy moja nauka w liceum dobiegała już końca, rodzice powiedzieli mi, że niestety, dłużej nie są już w stanie borykać się z nią. Czy dostałbym maturę, czy

nie — to już było wszystko jedno. Muszę zarabiać na życie.

70 procent młodych Francuzów nie ma żadnego przygotowania za wodowego. Podobnie jak Jacques, czy dostali świadectwo dojrzałości, czy nie, byli zmuszeni natychmiast podjąć pracę, żeby zarabiać na życie. A przecież są i tacy, których rodzice posłali do pracy, gdy mieli po 14 lat, a także i tacy, których nie przyjęto do szkół zawodowych z powodu braku miejsc.

Rynek pracy jest taki sam, jak każdy inny. Nie ma co pojawiać się na nim, proponując to, czego nikt nie potrzebuje. Co gorsza, specjalizacji na tym rynku też nikt nie potrzebuje. Szkolenie zawodowe jest bowiem oparte na nierealnych podstawach. Buja w obłokach i nie odpowiada potrzebom przemysłu.

— Mam przyjaciół — opowiada Roger — którzy zdobyli zawody: mechanika i ślusarza. Nie znaleźli pracy w tej dziedzinie, do której ich przygotowano. Wielu spośród

tych pracuje różnie, jedni w handlu ulicznym, inni jako gońcy.

TYLKO DLA FRANCUZÓW

Jacques znow wsadził nos w gazetę.

— O, niech pan posłucha, jest tu ogłoszenie, które mnie interesuje. Duży bank w okolicy opery. Trzeba tam jutro pójść. Niech pan przyjdzie o 9 rano, zobaczy pan jak to się wszystko odbywa!

8 rano. Przed nami ogromna bryła fasady banku. O 9 rano jest tu już nie mniej, niż 300 ludzi. Większość kandydatów do pracy — to młodzież. Widać, że starali się po rządnie i schludnie ubrać. Niektórzy są pochodzenia wyraźnie cudzoziemskiego; dostrzegam mieszkańca Martyniki, później dwóch, czy trzech Afrykanów. Zjawia się też jakiś elegancik, ubrany jak z igły!

— Przyjmujemy tylko Francuzów — mówi. Obcokrajowcy czekają na próżno.

Tłum przersedza się. Zasepieni chłopcy rozchodzą się, nie patrząc na nikogo...

W sali, w której przyjmują pozostali, długie rzędy stolików, które nadają jej wygląd szkolnej klasy. Przysiadam się do Jacquesa. Znow zjawia się ów elegancik:

— Otrzymałem ankietę, wypełnicie jej, jutro, o tej samej porze, po rozmawiamy z wami.

Jacques szybko wstaje:

— Nie ma sensu przychodzić tu jeszcze raz. Jest nas zbyt wielu. Ci wszyscy chłopcy są rachmistrza mi i już w tym pracowali.

Jacques już pół roku szuka pracy. Tydzień temu spotkałem na ulicy Rogera, tego kędzierzawego chłopca z Ici-le-Mouline. Pokazuje mi ogłoszenie:

— Pójdźcie pan ze mną? Ogłoszenie podała do pisma duża firma, która dostarcza robotników różnym przedsiębiorstwom. W czasie, gdy Roger załatwia formalności, proszę dyrekcję firmy o chwili

łą rozmowy. Pytam, czy taka firma nie może pomagać młodzieży?

— Absolutnie nie — objaśnia mnie sekretarz dyrekcji. — Raczej wprost przeciwnie. Naszym zadaniem jest przyciągać do pracy ludzi z kwalifikacjami doświadczonych, gotowych do szybkiego i maksymalnego wysiłku...

Na sali dostrzegam Rogera.

— Tutaj się nie przebijesz — mówi. Na szczęście, udało mi się zaciepić w innej agencji i niekiedy otrzymuję pracę, to tu, to tam. 15 dni rozładowywałem nocą samoloty na lotnisku Orly, trzy tygodnie pracowałem na składzie, ja ko pakowacz, później jako froter. Teraz, zdaje się, chcą mi dać pracę gońca. Między nami mówiąc, to nie jest praca ale kto wie, może w końcu i do mnie uśmiechnie się szczęście, może i ja gdzieś się wreszcie zaciepię... („Lecture pour tous”)

Opracował

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

NOTATNIK Wie denski

Dalszy ciąg ze str. 3

tamże przewidująca Mizzi. Rudolf: Mizzi Kaspar, ty jesteś, ty jesteś... Brakuje mu słów, lecz Mizzi nie zapomina języka w buzi. Mizzi: Wasza Wysokość, najbardziej oddana i najposlušniejsza poddanka, Rudolf: No, skoro jesteś mi oddana i posłuszna, to po pierwsze rozbie rzesz się. Przerwa i szelest jedwabiu. Mizzi: Pierwszy rozkaz wykonany, Rudolf: Po drugie — wskocz najszybciej do łóżka. Obok kamery przesuwają się jakieś niewyraźne nagie ciała i lądują w łóżku. Mizzi (chichocząc): Drugi rozkaz również wykonany. A trzeci? Plan się zaciemnia, wzajemnie szukanie się, najazd dziwnej muzyki. Rudolf: Po trzecie... I w tym miejscu — komen tuje gazeta — musimy istotnie z oczywistych względów obraz wymienić. Trudno powiedzieć, dlaczego żaden z wykonawców tego filmu nie pofatygował się do Wiednia. Przypuszczam, że ich dzieło entuzjazmu by nie wywołało. Ciekawy jestem, jak długo utrzyma się ten kicz na ekranach.

18.XII.

Syn moich znajomych, Polaków, 16-letni uczeń gimnazjalny, opowiada mi swoje obserwacje szkolne. W młodszych klasach panuje bezwzględny kult pieniądza, nie liczy się to, co w głowie, lecz to co w kieszeni. Panuje terror posiadania, on to rozwarstwia i klasyfikuje społeczność klasową. Im wyżej na drabinie szkolnej tym rozsądniej: zmieniają się kryteria ocen, wiedza, inteligencja, stopnie rosną w cenie. Zdobywcze samodzielności ma teraźniejszość, do której od pewnego wieku młodzi ludzie zaczynają wzdychać, gwarantuje zerwanie różnic wieków i skrupowań np. rodzicielskich. Dlatego np. tak wielu studentów, w tym i z zamożnych domów, pracuje w czasie studiów, które trwają bardzo długo. W tym roku spotkałem na tym samym seminarium doktoranckim studentów, których poznałem tu przed pięć laty. By dobrze startować w życie w miarę niezależnie, trzeba sporo umieć. Tym też tłumaczę sobie narastanie większego respektu dla wartości niedostatecznie dotąd uświadomianych, nierentujących jeszcze. Mój rozmówca jest chłop-

cem inteligentnym, odznacza się przy tym wrażliwością, jej prawdę podobnie zawdzięcza także oto spostrzeżenie: umarł — mówi z goryczą — ojciec koleżanki, zawiadania wspólnych kolegów o terminie pogrzebu. Ależ to jej wyłącznie sprawa, najzupełniej osobista, nas to nie obchodzi — odpowiada mu po kolei i nie przyszedł na pogrzeb. Moja córka zrezygnowała z atrakcyjnej wycieczki, by wziąć udział w pogrzebie matki koleżanki. W tej opowieści nie ma żadnego mora-

21.XII.

Po „Ariadnie na Naxos” R. Straussa i H. v. Hofmannstahla — potężny spektakl — ponad cztery godziny — „Tannhäuser” R. Wagnera w inscenizacji H. v. Karajana. Strauss, wielki kontynuator niemieckiej tradycji, w tym podległy tak bardzo geniuszowi Wagnera, wagnerysta zatem i w swej twórczości operowej, jakże przecież inny od swego inspiratora! Fachowiec ustali wyraźne związki i zależności stylistyczne między nimi, meloman odkryje również podobieństwa, uderzy go np. późnoromantyczna, bardzo dramatyczna i harmo-

ta nawałnica brzmień, które swym dynamizmem, jakby nieokielzaniem, wprost oszalałają. Ale jest „coś”, co różni go znacznie, przynajmniej w moim odczuciu, nawet zasadniczo, od Wagnera. Nie temat jedynie. U Wagnera w tym opętaniu zgola demonicznym mitologią germańską, w tych rzutach wyobraźni, skłębionej, wulkanicznej, jest coś przerażającego, wywołującego grozę, niepokojące i niedobre dreszcze. Ci germańscy herosi, wylaniający się z gęstwy praboru, ich rytuał, przysięgi, zaklęcia, jeszcze bardziej wyraziste w potoku barw i świateł albo w zamgleniu konturów, w nieustannym pomruku bądź grzmocie instrumentów... Te postaci przychodziły jakby z obcego, nienawistnego świata, poddane go zimnym, jakże obcym rygorom. Panuje tu porządek okrutny. W „Ariadnie” zaś — świat helleński, okrutny też po swojemu, lecz przez niknącą pogodną ekstazę, który można odbierać jako grę, nie zaś objawienie z mocą testamentową. Może się myśle, w każdym razie tak myślałem, oglądając oba, świetne zresztą przedstawienia: czy aby nie „austriackość” twórców „Ariadny” nie uwnormowała się w ich dziele, inne normy etyczne, inny temperament, inna zgola koncepcja życia?

TELEWIZYJNE OBIEKTYWY

Narzekania na tele-dziennikarstwo

Telewizyjne dzienniki — jak sądzę — jedynymi w bardzo krytycznej ocenie form, w jakich się publicystyką na małym ekranie uprawia. A je również do takiego krytycznego chóru się dołączam, doceniając, oczywiście, potrzebę tego rodzaju programów w telewizji.

Natomiast telewizyjne są — jak sądzę — jedynymi w bardzo krytycznej ocenie form, w jakich się publicystyką na małym ekranie uprawia. A je również do takiego krytycznego chóru się dołączam, doceniając, oczywiście, potrzebę tego rodzaju programów w telewizji.

Przed niewielu dniami siedziałem przed telewizorem oczekując — bodaj — piątkowego teatru TV i przysiadłem się kolejnemu wydaniu Wszechnicy Telewizyjnej. Przedmiot — ekonomia polityczna socjalizmu, temat — dochód narodowy. Czy przeciętny obywatel powinien mieć o tym podstawowe przynajmniej pojęcie? Niewątpliwie. Czy dopomógł mu w tym wspomniany program Wszechnicy? Tu już zaczynają się wątpliwości.

Jaką formę nadał programowi? Taką, do jakiej jesteśmy w telewizji, niestety, przyzwyczajeni. Przy stoliku dwóch panów, jeden — znawca zagadnienia, drugi — dziennikarz prowadzący program. Pseudorozmowa prowadzona przez obu panów polegała na rozpisaniu na dwa głosy podręcznika ekonomii. Profesor mówił nieco zawile, dziennikarz starał się czynić to w sposób przystępniejszy, ale nie była to żadna dyskusja, żadne zderzenie poglądów.

Realizatorzy programu pamiętali jednak o tym, że w telewizji trzeba także zadbać o stronę wizualną zagadnienia. Wobec czego od czasu do czasu pojawiała się jakaś plansza, a czasem nawet dokrętka filmowa. Jedną z dokrętek zapamiętałem. Mowa była akurat o postępie w pralnicach. Wobec tego najpierw zobaczyliśmy na ekranie ręce praczącej trzęsącej żmudnie bielizną nad białą, a potem wkładanie brudnej bielizny do nowoczesnego automatu pralniczego.

Zadałem sobie pytanie, czy obraz filmowy poszerzył w tym miejscu w jakimś sensie pojemność informacji słownej, czy tylko spełniał funkcję tautologiczną, pokazując całkiem zbędnie to samo, czego dowiedzieliśmy się z ust rozmówców? Pytanie było raczej retoryczne. Wyobraźni telewizyjni widzowie tego rodzaju podnieśli „uzupełniające” słowo.

W tym wypadku chodziło o popularyzację wiedzy, w innych porusza się ważniejsze problemy społeczne, ale najczęściej w sposób statyczny, bezkonfliktowy, nie angażujący widza w poruszane sprawy. Stąd niechęć znacznej części widowni telewizyjnej do publicystyki i innych form dziennikarskich na małym ekranie w ogóle.

A przecież rzecz tkwi w dużej mierze w sposobie, w jaki się problemy na antenie telewizyjnej porusza. Temat bywa nieraz pasjonujący, ale tonie w martwej, niewymyślnej formie przekazu, gdy realizatorzy zapominają, że telewizja to widowisko. Przekazać za jej pośrednictwem można formy różne, byle nie zapominać o widowiskowym charakterze tego mass-medium.

Kadra dziennikarska w TV będzie się zapewne brońbą broniła dostatecznych środków technicznych. Sytuację zmienić w sposób istotny uzbudowanie reporterów telewizyjnych w przenośne video-magnetofony, które pozwolą im dotrzeć w samo centrum życia bez wleczenia za sobą kabla. I przekazać do studia obraz dźwiękowy. Podobną — choć nie identyczną — rolę spełnią lekkie filmowe kamery dźwiękowe.

Nie będę tu wymieniał wszystkich zdobyczy techniki już dziś stosowanych w bardziej rozwiniętych telewizjach zagranicznych. Każdy rok przynosi dalsze nowości, które — może wolniej niż byśmy sobie tego życzyli — ale przecież będą docierały i do nas. Z całym jednak naciskiem podkreślić trzeba, że same udogodnienia techniczne i modernizacja sprzętu nie załatwi nam sprawy podniesienia poziomu dziennikarstwa telewizyjnego. Nowoczesny sprzęt wymaga zmian w psychice korzystających z niego ludzi.

Możemy mieć wątpliwości, czy dziennikarze, których szczytowa inwencja polega na przeprowadzeniu przed kamerą martwej rozmowy, zmieniając atrychmiast styl pracy, gdy postawi im się do dyspozycji video-magnetofony i inne zdobycze techniki. Obawiam się, że nie będą do tej rewolucji technicznej programu TV przygotowani.

Nie chcę być gołosłowny. Telewizja Warszawska i niektóre inne ośrodki regionalne (niestety, nie Łódź!) korzystają już od jakiegoś czasu z filmowych kamer dźwiękowych. Ale w jaki sposób? Najczęściej w taki, że dyrektor fabryki X nie zaprasza się już do studia TV, ale filmuje się wywiad z nim w jego gabinecie, za biurkiem. Oto jaskrawy przykład nieumiejętności korzystania z nowoczesnego sprzętu.

Kształcimy ludzi teatru, kształcimy filmowców, ale jakoś wciąż jeszcze nie rozwiązałyśmy problemu kształcenia dziennikarza TV. Zdunne jest bowiem przekonanie, że wystarczy przesłać dziennikarza z prasy, czy z radia do telewizji na tej zasadzie, jak flancuje się kwiaty z jednej grządki na drugą. Najlepsi nawet publicyści prasowi mogą nie sprawdzić się w telewizji, a zwłaszcza nie sprawdzą się, skoro nikt ich nie nauczy pracować w odmiennym typie środka propagandowego, skoro nie poznają specyfiki publicystyki audiowizualnej.

Rodzi się projekt stworzenia studium telewizyjnego dla dziennikarzy przy Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej w Łodzi. Zasadności tej inicjatywy nie trzeba chyba udowadniać.

WLADYSŁAW ORLOWSKI

spektakle tygodnia

spektakle widzów proc.

TEATR WIELKI

„Jezioro łabędzie”,	1	1260	100
„Tosca”,	1	1260	100
„Zemsta nietoperza”,	1	1260	100
„Książ Igor”,	1	1260	100
„Romans gdański”,	2	2520	100

NOWY

„Dziś do ciebie przyjść nie mogę”	5	3500	100
„Żeglarz”,	3	1800	90

MAŁA SALA

„Bliski nieznanomy”,	4	700	90
„Książę świeci nieszczęśliwym”,	2	400	100

POWSZECHNY

„Rzecz listopadowa”,	1	500	80
„Taniec śmierci”,	3	1500	80
„Turniej z czarodziejem”,	1	660	100

JARACZA

„Wesele”,	4	2360	100
„Każdy kocha Opalę”,	1	600	100
„Przedwiośnie”,	2	1010	85

7.15

„Parady”,	3	1360	98
„Moralność pani Dulskiej”,	2	860	100

OPERETKA

„Hrabina Marica”,	5	4690	65
-------------------	---	------	----

FILHARMONIA

*Koncerty symfoniczne 2 spektakle 840 słuchaczy 62

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Na tle białych gór, ich pięknych lasów i łąk, na gwałtownych, tonących w słońcu ulicach Pragi, w mroku protestanckiej świątyni i w zacisznym mieszkaniu pastora Hubiny rozgrywa Stanisław Różewicz kameralny dramat moralistycznych zapytań, czyli film „Samotność we dwoje”.

Dzieje pozornej szczęśliwości i spokoju oraz historii ich upadku opowiada Różewicz, dbając przede wszystkim o efekty emocjonalne, które mają wywołać pewien niepokój prowokujący do stawiania pytań i szukanie odpowiedzi. Sens tych pytań i wbrew temu, iż dramat rozgrywa się w bardzo zamkniętym, nawet wyizolowanym małym kręgu ludzkim miał w wyjściowych intencjach reżysera mieć charakter uniwersalny. Są to pytania poszukujące prawdy w racjach i postawach życiowych trojga bohaterów, prowadzą zaś do próby odpowiedzi na to czy człowiek nawet wtedy, gdy postać zbudowany na własny użytek system moralny jest w stanie stawić czoło złu, czy jest w stanie je pokonać wtedy, gdy zagraża bezpośrednio jemu i najbliższemu.

Dzieje rodziny pastora Hubiny, której szczęście budowano w oparciu o system

praw boskich obrazować mają ich kruchość w zetknięciu z porządkiem ziemskim. Pozór cnoty i stabilizacji, pozór szczęścia i spokoju przyska, gdy człowiek zetknie się z okrutnymi przypadkami, które niesie życie. Przypadek jest w „Samotności we dwoje” elementem przewodnim. On decyduje o wszystkim, wystawia człowieka na wielką próbę sił własnych i systemu moralnego, którym się kierował. Rola przypadku funkcjonuje w tym filmie w odniesieniu do spraw bardzo osobistych, dotyczących wybranych jednostek ludzkich, one zostają wystawione na próbę. Ale pobrzmiewają w filmie Różewicza echa spraw, które niedługo przyniosą czas wielkiej próby narodów, społeczeństw całych. W domu pastora znajduje się człowiek będący osobnośnym praw, które niedługo ogarną świat. Wyznawca niemieckiej filozofii, własnego „ja”, poczucia wyższości i pogardy dla innych, człowiek zafascynowany siłą i możliwością przemocy — von Kschitzky oraz najnowsze wiadomości o paleniu w Niemczech ksiązek Helnego, wnoszą w dom pastora ostrzeżenia, z których nikt sobie jeszcze nie zdaje sprawy. Małżeństwo Hubinów szamocze się na razie tylko z własną samotnością, pastor próbuje jeszcze z nią walczyć, nie chce w nią uwierzyć. Jego żona, utwierdzona przez von Kschitz-

ky'ego w jej świadomości, odejdzie, choć zdaje sobie sprawę, że nie rozwiązuje to dylematu. Czas próby okaże się dla nich zwycięski. Nie ma w tym filmie racji zwycięskich, jest w nim tylko jedna prawda — konieczność świadomości stałego zagrożenia, którą trzeba postać, zbierać siły by móc stawić czoło złu. Dominuje jednak nad tym świadomość inna — bezsilność człowieka, którego w gruncie rzeczy nic nie uchroni, nie ma bowiem fałszy, nie ma systemu moralnego, który byłby pancierzem ochraniającym, czlowiek jest sam, przeraźliwie sam.

Te wszystkie sprawy są w filmie Różewicza jednak tylko zasygnalizowane, wiele trzeba samemu dopowiedzieć. Przyjęlibyśmy to jako świadomy cel działania reżysera, gdyby nie to, że właściwie film, zwłaszcza w części ostatniej, rozgrywa się w konwencji melodramatu, zgoda, że wyposażonego w aluzje, ale w końcu opowiedzianego ciężko i dość nudnawo. Zamierzenia reżyserskie zostały gdzieś w potowie drogi cofnięte, Różewicz zawierzył chyba zbyt silnie tekstowi literackiemu, a nie uwierzył, że dramat rozegrany w protestanckiej plebanii może mieć charakter problemów uniwersalnych.

EWA NURCZYŃSKA

RECENZJE „POD 77”

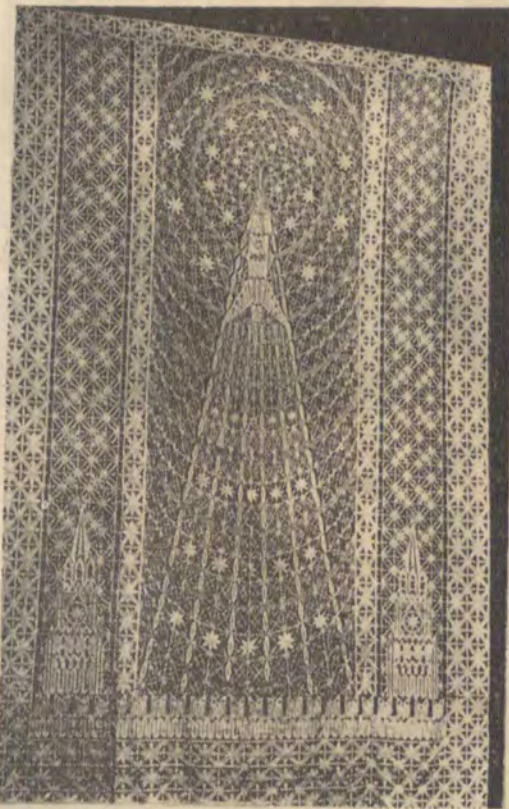
Klub Studentów Łodzi przy współudziale redakcji „Odgłosów” i Centrali Wynajmu Filmów — Oddział w Łodzi rozpoczął w bieżącym miesiącu imprezę, którą zamierza kontynuować w rocznicowym roku 25-lecia Kinematografii PRL. Jest nią cykliczny konkurs na studencką recenzję filmową dotyczącą filmów polskich wchodzących w bieżącym roku na nasze ekrany. Intencją organizatorów jest zwiększenie zainteresowania polską twórczością filmową w środowisku studenckim, danie możliwości wypowiedzi i ocen własnych, dotyczących zarówno zastanych dzieł filmowych jak i zamierzeń przyszłych naszej kinematografii.

Łutowy konkurs na recenzję z filmu S. Różewicza „Samotność we dwoje”, zakończony spotkaniem z jego twórcami był początkiem imprezy, do której organizatorzy serdecznie zapraszają wszystkich zainteresowanych.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



Ją szkoły przygotowujące dzieła wczela do zawodu koronczarki. Wśród pedagogów znajdują się wybitna artystka, Kaptolina Isakowa, która nie tylko wychowała dziesiątki u talentowanych koronczarek, ale jest twórczynią rzadkiej piękności dzieł koronczarskich. Ona to zaprojektowała i wykonała m. in. wspaniałą serwetkę zatytułowaną „Zora polarna” — bajeczny krajobraz zimowy w blaskach polarnej zorzy.

Na wystawie brukselskiej w roku 1968 koronki z Wologdy zdobyły złoty medal.

Słynne są też kolorowe koronki z Michajłowa (kolo



Riazania w Centralnej Rosji, tak barwne, że wyglądają jak wyszywanki. Koronki michajłowskie zawierają elementy ludowych strojów tej okolicy.

Obok motywów tradycyjnych do koronczarstwa wkraczają przeróżne motywy współczesne. I tak np. widać to w wyjątkowo precyzyjnie wykonanej francuskiej, zatytułowanej „Sputnik”.

SMIERC FRANKENSTEINA

W wieku lat 81 zmarł angielski aktor Boris Karloff, słynny ze swych kreacji postaci Frankenstein i innych budzących grozę, bohaterów filmowych.

Jego właściwe nazwisko brzmiało: William Henry Pratt. Urodził się w Londynie w roku 1887. Jego ojciec był dyplomata, przebywającym w Indiach i marzył o dyplomatycznej karierze dla syna. William Henry Pratt po

stanowił jednak zostać aktorem. Działalność sceniczną rozpoczął w roku 1910 w Stanach Zjednoczonych. W dziesięć lat później staje się już sławnym występując w wielu filmach-dreszczowcach. Grywał na scenach Broadwayu. Ogółem wystąpił w teatrze na Broadwayu 1.400 razy. Ten odtwórca filmowych potworów kochał bardzo dzieci i w chwilach wolnych od pracy przed kamerami czy na scenie, wygłaszał przez radio pogadanki dla dzieci. W życiu prywatnym lubił książki, zwłaszcza poezję oraz z zamiłowaniem pielęgnował ogródek.

DZIWNY MALARZ

Wyjątkowo ekscentrycznym był zmarły w roku 1962 francuski malarz Yves Klein. Syn malarza i malarki początkowo nie chciał iść w ślady rodziców, z których jedno było abstrakcjonistą, drugie uprawiało malarstwo figuratywne. Yves Klein nie interesuje się z początku w ogóle sztuką. Wyjeżdża do Japonii, gdzie przez długi czas uczy się dżudo potem wraca do Francji, by zarabiać na życie jako instruktor tego niespopularyzowanego jeszcze w Europie sportu. Później dopiero zaczyna swą dziwną twórczość artystyczną.

Retrospektywna wystawa dzieł Yvesa Kleina w Muzeum Sztuki Dekoracyjnej w Luwrze zgromadziła ok. 150 płócien z różnych okresów malarstwa. W większości są to obrazy monochromiczne, pokryte jedną niebieską farbą, natryskiwana rozpylaczem. Na niektórych, dla uzyskania efektu trójwymiarowości, artysta poprzyklejał gąbki różnie pomalowane na niebiesko. Czemu Klein wybrał kolor niebieski? Była to według niego barwa nieba, kałwa kosmosu, oceanu, nieskończoności. W roku 1958 wystawa „próżni” zaprezentowała przez Kleina wywołuje głośny skandal. Bowiem widząc przybyłym na tę wystawę artysta pokazał jedynie gołe, białe ściany.

Rok 1958 zaznacza się też w twórczości Kleina „malatwem” — jak je nazwał — antropometrycznym. Oto namig modelkom każe zanurzać się w błękitnej farbie, po czym odciśka je na płótno. Odciśki to czasem obwodził wzduż konturów farbą rozpryskiwaną rozpylaczem. Później eksperymentuje z palnikiem pozostawiając na abze

stowych powierzchniach ślady płomieni. Nazywa to malarstwem ognia. Godzi się, aby Gualterio Jacopetti nakręcił o nim dłuższą sekwencję filmu „Mondo Cane”.

Na premierę w Cannes w roku 1962 Yves Klein zjawia się w błękitnym smokingu. Ale tu następuje tragedia. Ja copetti wciągnął sekwencję o Kleinie pomiędzy osobliwości, okropności i dziwactwa jakim



Yves Klein

poświęcony został film. Malarz jest tak wzburzony, że opuszcza seans, wraca do hotelu i dostaje ataku serca. W miesiąc potem umiera na serce w wieku lat 34. Legendą da ekscentryka jaka go ołacza, sprawia, że nawet wieść o śmierci przyjmowana jest z początku, jako jeszcze jeden niezwykły żart Kleina. „Nowy żart Yvesa, nowy rodzaj wprowadzenia nas w za kłopotanie. Bawiłem się tym przez całą noc” — mówił jeden z przyjaciół Kleina.

Traktowany przez ogół jako ekscentryk i dziwak Yves Klein uważany jest dziś przez niektórych malarzy i teoretyków sztuki za prekursora tych idei, które legły u podłoża nowoczesnej sztuki. W takim przypadku dziwactwa i niesamowite nieraz poszukiwania artystyczne Kleina nabierały głębszego sensu.

FILATELISTYKA I TWORCY

W Czechosłowacji ukazała się seria znaczków pocztowych poświęconych wybitnym twórcom XX wieku. Są oni przedstawieni w zabawnych, ale budzących sympatię karykaturach. Reprezentowani są tacy twórcy jak: Ernest Hemingway, Karel Capek, George Bernard Shaw, Maksym Gorki, Pablo Picasso, Charlie Chaplin.

SMIERC RYSOWNIKA

W wieku lat 64 zmarł bliski współpracownik Włada Dżinsy, W. William Peter Tyla. Był on twórcą m. in. rysunkowego filmu o przygodach słonia „Dumbo”.

NOWY BALET

Kosztów 800 tysięcy franków rocznego subsydium powstał w Amiens balet, który ma szeroko zakrojone ambicje twórcze. Ma on interpretować najnowsze, często jeszcze nieznanne szerszemu ogółowi, dzieła współczesnych kompozytorów. Choreografia i scenografia będą opracowywane w ścisłym powiązaniu z koncepcją baletu wala już od momentu jej powstania.

NAGRODA IM. VAILLANT-COUTURIERA

W tym roku Prix Vaillant-Couturier otrzymał Gérard Guillaume, reżyser francuskiej TV za dwa filmy przeznaczone dla małego ekranu: „Khoa, poeta dziecko”, i „Kobiety z Deltą”. Obydwa filmy traktują o wojnie wietnamskiej. O dziesięciolecie pocie Khoa z Wietnamu pisaliśmy niedawno.

NAGRODA IM. GOETHEGO

Nagrodę im. Goethego w wysokości 25 tysięcy marek otrzymał za całokształt pracy naukowej francuski profesor Robert Minder. Jest on autorem wielu prac m. in. dzieła pt. „Diabeł w literaturze francuskiej” oraz studium nad twórczością Baudelaire'a i Bernanosa.

PAUL VALERY BĘDZIE MIAŁ MUZEUM W SETE

W pobliżu cmentarza marynarzy, gdzie pochowany jest Paul Valéry (1871-1945), wybitny poeta i eseista francuski powstaje muzeum jego imienia.

Kustosz przyszłego muzeum Gabriel Couderc od lat dwudziestych gromadzi rękopisy, rysunki, listy i inne pamiątki po pisarzu. Muzeum ukończony ma być jeszcze w tym roku. Budowla stanie na pagórku, wzniesiona z białego kamienia. Będzie stała wśród świerków, niedaleko latarni morskiej i cmentarza, na którym spoczywa Paul Valéry. Budynek otoczy piękny ogród z roślinami śródziemnomorskimi.

ROSYJSKIE KORONCZARKI

W lutym numerze radzieckiego magazynu „Sputnik” znajdujemy m. in. interesujący artykuł o koronczarstwie w ZSRR.

To artystyczne rzemiosło znane było na terenie Rosji od bardzo dawna. Wzmianka o nim teksty kronikarzy z XIII wieku. Uprawiane było i

jest w wielu miastach i wsiach. Z wyrobu pięknych koronek słynęły i słyną do dziś Wologda, Jelec, Riazan i Wiatka (dziś Kirow). Największym uznaniem i sławą cieszyły się koronki z Wologdy.

Tajemnice sztuki koronczarskiej przechodziły z pokolenia na pokolenie.

Obecnie w Wologdzie istnieje



Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

DAJMY ODPÓR KRASNOLUDKOM

BARTKIEWICZ TO TAKI FACET — CZY STRUG GRAŁ W LKS? — REKTOR PUSZCZA „OKO” — SCHILLER Z MIEJSKICH TARGOWISK — GDZIE JEST TA ULICA? — NIE WIERZĘ W KOMISJĘ.

Mocą wyobraźni przywołał ich na Plac Wolności w noc wigilijną — Juliana Tuwima, Władysława Reymonta, Rajmunda Rembielińskiego, Witolda Wandurskiego, Zygmunta Bartkiewicza, Leona Schillera, Władysława Strzebińskiego, Juliana Marchlewskiego, Andrzeja Struga i Artura Głiszczyńskiego. Dzieśnię nazwisk ludzi zastużonych dla tego miasta — dziesięć historycznych postaci. Uczyniły ich bohaterami świątecznego konkursu. Dziś publikujemy rozwiązanie oraz listę zwycięzców. Ale felietonista zainteresowała na marginesie tego konkursu co innego.

Przeprowadziłem błyskawiczną mini-ankieta, co w rodza ju quizu z wciąż tym samym pytaniem: co pan wie o Zygmuncie Bartkiewiczu, Arturze Głiszczyńskim, Rajmundzie Rembielińskim... Chodziło mi o tych mniej znanych, ale

przecież istotnych, tkwiących mocno w historii czy literaturze Łodzi.

Przecież to od Bartkiewicza wzięło się obiegowe, jakże często nadużywane określenie „złe miasto”, od jego książki pod tym tytułem. Przecież to Rembieliński był u podstaw tworzenia się Łodzi przez myśl, to dzięki niemu rozpoczęła się przemysłowa ekspansja na równinie nad Łódką. Przecież to Głiszczyński pisał pierwsze w tym mieście poetyckie pieśni o trudzie robotnika, o przemysłowym rytmie miasta... „Czy znam Zygmunta Bartkiewicza?” — zastanawia się jeden z indagowanych — „Zygmunta znam jednego, Bartkiewicza — nie”. Bartkiewicz? — zastanawia się drugi — to taki facet od literatury Łodzi, coś tam napisał na ten temat.

No, no ciepło, ciepło... Ale do pieca jeszcze daleko...

Może więc współcześni łódzcy Bartkiewicz będą coś wiedzieć o tym pisarzu? Niestety. Dawno do jednego — „nie wiem, pierwsze słyszę o pisarzu, w naszej rodzinie mieliśmy księdza, organistę, inżyniera, ale literata nie...”. Znaczący, Bóg ustrzeż! Dzwonię dalej. Telefon przyjmuje młoda latorośl rodu Bartkiewiczów z ul. Świerczowskiego. „Nie, nie słyszałem”. Pytam o „złe miasto”, że tak mówiono o Łodzi. „Złe miasto? — oburza się młody Bartkiewicz — dlaczego, wca le nie złe...”. No pewno, dla ciebie kolego ono już złe nie jest...

Pytałem o Struga — oczywiście, każdy wiedział, gorzej było gdy przyszło wymienić tytuł jego powieści o Łodzi. Pomyślałem sobie — jest w Łodzi ulica Andrzeja Struga, więc spytałem o jego prawdziwe nazwisko — Tadeusz Gątecki.

„Zaraz, zaraz — mówi jeden — był taki piłkarz w LKSie, mówił na niego „ta ta”. „Tadeusz Gątecki” — przysłuchujący się rozmowie pan rektor jednej z uczelni dodaje: „Oczywiście, to był piłkarz, grał w obronie...”. Ale odchodząc pan rektor puścił do mnie „oko”... Więc może żartował?

„Rembieliński Rajmund, ur. 1875, zm. 1841, działacz polityczny, jako prezes komisji wojewódzkiej mazowieckiego położony szczególne zasługi dla rozbudowy przemysłu włókienniczego...”. To oczywiście no taktka z encyklopedii — po-

stać Rembielińskiego jest dla moich respondentów trochę jakby z czeskiej komedii „Nikt nic nie wie”. Podobnie Głiszczyński, podobnie Wandurski... „A Scena Robotnicza? — pytam — taki teatr robotniczy. Respondent zastanawia się „Teatr robotniczy? Na Ogrodowej?” Oj, zupełnie mróz. Pomieszkano Piłarskiego z Teatrem Popularnym...

Jeszcze lepiej skojarzono Leona Schillera. Zapytany miał inteligentne spojrzenie i szybki refleks. „Schiller? Przy ale jego imienia mieści się Wydział Komunikacji.”

I zarząd targowisk miejskich — odpartem — ale mnie chodziło o co innego. Nie pytałem już o Strzebińskiego, bo nie ma w Łodzi ulicy jego imienia — więc po co?

Ale właśnie. Dlaczego nie ma takiej ulicy? Z naszej konkursowej dziesiątki historycznych łódzian swoje ulice mają Tuwim, Strug (choć to trochę naciągane, bo staremu socjalście przydzielono ulicę po Świętym Andrzeju), Schiller (od niedawna) Reymont (podwójnie, bo ulicę i plac), Rembieliński (pozał się Boże, co za ulica — gdzieś za parkiem Poniatowskiego). Pozostała piątka nie ma we własnym mieście swoich ulic. Nie ma jej nawet Marchlewski, choć rekompensują przy najmniej ten brak ogromne zakłady nazwane jego imieniem.

Szukałem na planie Łodzi. Pod B znalazłem m. in. na- wet Bułgarską i Białoruską

— Bartkiewicza nie było. Pod S znalazłem m. in. Strzebińskiego (czyżby Władysława?) — Strzebińskiego nie było. Pod W znalazłem m. in. Wandurskiego (rodzina?) oraz miłą memu sercu ulicę Widok — Wandurskiego nie było. Pod G wreszcie znalazłem apetyczny zestaw obładowy w postaci Grochowej, Grzybowej i Gryczanej — Głiszczyńskiego nie było.

Nie było — oczywiście — na planie. Nie ma także w mieście. Ale przecież wszyscy oni — Bartkiewicz, Głiszczyński, Strzebiński, Wandurski — byli właśnie tu, w tym mieście, tu pisali, tu tworzyli. Wnieśli ogromnie dużo w tradycję i kulturę Łodzi. Na leży im się nasza pamięć, należy uhonorowanie w postaci nowych ulic w nowych osiedlach.

Ktoś mi kiedyś mówił, że istnieje w Łodzi jakaś komisja zajmująca się nazewnictwem ulic. To oczywiście wierutne bajki — takiej komisji nie ma, bo to niemożliwe, aby zespół dorosłych ludzi popełnił takie niedopatrzenie. Z innego jeszcze powodu uważam pogłoski o istnieniu komisji za złośliwą plotkę. Bo powiedzcie — czy ktoś poważnie może nazywać ulice np. Nowokilińskiego czy Nowożeromskiego? To krasnoludki, tylko krasnoludki, którym musimy dać zdecydowany odpor.

JERZY WIDOK

Bez strachu

ŚRODEK

Proste codzienne słowa: „Jest mi gorąco”, „Jest mi zimno”, „Jak tutaj gwaro”, „Co za cisza” — to bieguny codzienności, wektory optymalnego miejsca, miejsca w którym można zażywać właściwej temperatury, właściwego towarzystwa. Bezustannie poszukujemy — każdy nasz ruch to początek podróży do krainy dobrego miejsca. Wiemy przecież, że takie prawdziwie dobre miejsce nie istnieje, jest tylko lepsze lub gorsza droga. Ten stoлик przy którym piszę jest zbyt niski, tamten zbyt wysoki — to pióro stawia zbyt grubą kreskę, tamto zbyt cienką — nigdzie nie ma naprawdę dobrego stolika, ani dobrego pióra — nie ma też naprawdę dobrego pomysłu i naprawdę dobrego sposobu pisania. Robię rzeczy niedoskonałe, często złe i wiem o tym. A przecież nie mogę pozbyć się myśli, że kiedyś znajdę dobry temat, dobry stoлик i dobre pióro, napiszę wtedy dobry, naprawdę dobry felieton. To wszystko co do tychczas dałem to były tylko szkice, próby wprawki — przez szkadzka mi w pisanu zima i nieodpowiednie mieszkanie i nagły termin. Wszyscy ci wrogowie dobrego felietonu cisną się do mojego stołu — przychodzą także nieoczekiwanie czyjeś przypomnienie twarze, rytm rodzącego się wiersza, niewspółczesne uśmiechy i łyzy. Muszę bezlitośnie obcinać wszystkie rzeczy niezaplanowane, trzymać się porządku, kompozycji, a przez szkadzka mi jeszcze ból zreumatyzowanych palców — czy dobry felieton może napisać tylko autor doskonały — zu pełnie zdrowy fizycznie i psychicznie. Psychologia pracy twórczej poucza nas, że autor rzy zupełnie zdrowi to autorzy słabi, przeciętnie nieciekawi. Spotkałem kiedyś człowieka ciężko chorego, który kiedyś przed laty był dobrym autorem, powiedział mi, że jego choroba to cena, którą zapłacił za dobre pisanie — nikt już dzisiaj nie pamięta, że kiedyś dobrze pisał, wszyscy wiedzą, że jest chory i to wszystko... Ten autor posunął się do pewnej skrajności — zniszczył, spalił sam siebie. Czy nie ma nigdzie środka pomiędzy gorącem, a zimnem, gwarem a samotnością, miejscem w którym można by pisać bez nadmiernej męczarni, a przecież pisać dobrze. Czy trzeba pisać zawsze, codziennie, czy też wtedy tylko gdy już inaczaj nie można. Czy trzeba czytać to co mądrzy ludzie napisali o pisanu czy lepiej postawić ich książki na półkach. Czy rozmowa o pisanu jest czymś słownym, pomocnym, czy też wstydliwym i szkodliwym. Dobrze chyba wiedzieć o tych wszystkich perspektywach jeżeli nie przed pisanem, to przed czytaniem. Czytający powinien wiedzieć więcej o piszącym — jemu wiedza w żadnym razie nie zaszkodzi. Czytający wybiera i ocenia, czytający jest sędzią, a piszący oskarżonym — nikt chyba nie wątpi, że wiedza sędziego musi przetrząść wiedzę oskarżonego. Ja pisząc myślę o setkach moich sędziów, czy który z tych sędziów, przedtem nim rzuci okiem na felieton, myśli o mnie? I tak jest sprawiedliwie — jeżeli zdecydowałem się na grzech pisania i publikowania podlegam osądowi, oskarżeniu — trzeba było siedzieć cicho, a nikt by mnie nie ocenił, nie oskarżał. Ponadto podlegam dotkliwej, intensywniej niż inni ludzie, poszukiwaniu środka — miejsca, które nie będzie ani gorące ani zimne, ani gwarne, ani samotne — nigdy dołychczas takiego miejsca nie znalazłem, męczyły mnie zbyt wysokie i zbyt małe stoły, zbyt grube i zbyt cienkie pióra. Tak długo już piszę, a ciągle jeszcze nie znalazłem środka.

BERNARD SZTAJNERT

PROCES

Relacjonuję, po pewnym czasie, wystarczającym na uspokojenie umysłów precedensową w sądownictwie polskim sprawę karną przeciwko Stanisławowi Modzelewskiemu, oskarżonemu o wielokrotne dokonanie zabójstw z lubieżności, wielokrotne usiłowanie takich zabójstw, przywłaszczanie mienia prywatnego i nielegalne posiadanie broni.

29 lipca 1952 r. Jakiś osobnik w lesie koło Gałkówek skatował i udusił starszą kobietę. 27 grudnia tegoż roku uczynił to samo z młodą kobietą w lesie Modlica. Niemal identycznie spowodował zgon innej kobiety na drodze polnej, wiodącej do wsi Starowa Góra, 28 lutego 1953 r. Podobną zbrodnię po wtórzył 2 stycznia 1955 na polach w okolicy Gałkówek. W dniu 29 marca 1956 powtórzył mord i katowanie nowożywej ofiary na drodze z Gałkówek Małego do Borowej. Kolejna zbrodnia — niemal identycznie dokonana — miała miejsce 29 lipca 1956 r. na polu w Gałkowie Dużym. Ostatni mord — który zade cydował o postawieniu przed Sądem Stanisława Modzelewskiego za wszystkie cytowane tutaj zabójstwa — został dokonany na osobie współlokatorki Modzelewskiego, sta ruszki 87-letniej w Warszawie, w roku 1967. Ogółem oskarżony odpowiada za 7 zabójstw i 6 napadów, które można interpretować jako za mjar dokonania zbrodni.

Co mówią biegli lekarze są dowi, w oparciu o literaturę naukową, udostępnione im ekspertyzy i bezstronność za wodową?

Przed wszystkim stwierdzają występowanie wypadków skrajnego, zbrodniczego sadyzmu w całkowitej niezależności od epoki czy układów społecznych — traktując to zjawisko jako pewnego rodzaju patologię dotyczącą rozdzaju i realizacji popędu seksualnego. Jest to, innymi słowy, dążność do przyjemności własnej na drodze zadawania bólu, bądź gwałtownego upustu krwi, a nawet śmierci ofierze. Różnice w sposobach zadawania śmierci przez podsądnego mogą wynikać z pewnych przyczyn zewnętrznych (np. bliskość za budowań lub toru kolejowego, w przeciwnieństwie do głębokiego lasu). Ponadto w

grę wchodzi pogłębiający się z upływem czasu stopień charakteropatii.

Czym dysponował Sąd w momencie rozpoczęcia przewodu przeciwko Stanisławowi Modzelewskiemu? Sąd otrzymał wnikliwie opracowany akt oskarżenia, sporządzony przez oskarżyciela publicznego, listę świadków na przeróżne okoliczności towarzyszące zabiściom, kilka dowodów rzeczowych, kilka mów przesłuchań, ekspertyzy i protokołów sporządzonych przez biegłych psychiatrów, ponadto film z wizji lokalnej, wykresy, zdjęcia, szkice — i już w pierwszych słowach oskarżonego przyznaje się jego do winy.

Teraz zachodzi pytanie: czy Sądowi ta dokumentacja wystarczy?

Abstrahując od stwierdzeń niektórych sprawozdawców, spróbuję przedstawić tutaj czytelnikom sylwetkę oskarżonego. Jest on człowiekiem średniego wzrostu o przerzedzonych włosach ciemnoniebieskich. Nie ma w sobie żadnych cech przerażających, jest krepym, silnie zbudowanym mężczyzną o twarzy raczej banalnej, posiadającej tę cechę, że trudno z niej od czytać wiek. Oskarżony ma niespełna 40 lat. Oskarżony wykazuje dużą pamięć szczegółów poprzedzających czynny zarzucane mu i całkowicie brak pamięci samych czynów. A oto przykład.

Sąd: Włec oskarżony przyznaje się do zabójstwa Gołackiej?

Modzelewski: Sam wypadek miał miejsce, ale nic o tym nie wiem.

Sąd: Co oznacza „nie wiem”?

Modzelewski: Nie pamiętam szczegółów.

Przewodniczący kompletu sędziowskiego okazuje mu protokół śledztwa, opatrzone jak wiadomo podpisem podejrzanego na każdej stronie. „Podpis jest mój — powiada oskarżony — ale to wszystko inne pisał oficer śledczy”. Niewzruszona cierpliwość sędziego Rybickiego dyktuje mu rozwiązanie równie proste, co żmudne: Prezes Sądu odczytuje po kolei każde zdanie zeznania i zadaje pytanie: „Czy ten fakt jest zgodny z prawdą?” Modzelewski potwierdza. „Jak więc oficer śledczy mógł wiedzieć sam to wszystko, przecie te fakty was dotyczą?” — konkluduje sędzia. „Ja nie wiem” brzmi uparta odpowiedź oskarżonego. „Czy ze znaniami były wymuszone na oskarżonym?” — pyta Sąd. „Nie” — odpowiada Modzelewski.

Z uwagi na rozmiary tego sprawozdania muszę ograniczyć relację dotyczącą opinii biegłych psychiatrów — opinił w stosunku do których padło najwięcej zastrzeżeń i pytań ze strony obrony. Reasumując badania w klinice psychiatrycznej biegli stwierdzili:

1. niedostateczne wykształcenie uczuć wyższych u oskarżonego, przejawiające się w braku więzów rodzinnych, braku poczucia wyrządzonej krzywdy oraz niskiego poziomu moralności.

2. Wybuchowość i częste konflikty z otoczeniem Modzelewskiego z równoczesnym stwierdzeniem afektu prawidłowo modulowanego i możliwości opanowania odruchów.

3. Skrajny sadyzm.

Człowiek, który współoskarżał Stanisława Modzelewskiego, spędził z oskarżonym wiele dni w trakcie wielokrotnego przesłuchania i prezentuje typ człowieka imponującego uczciwością, doświadczenia i humanitaryzmem.

Przedstawiam w skrócie wy stąpienie prok. Ryszarda Kac przaka w przedostatnim dniu rozprawy.

„Prawo do życia jest najświętszym przywilejem obywatela, dlatego nasze państwo stoi na stanowisku ochrony życia, czyniąc z tego podstawowe prawo i zasadę humanitaryzmu. Mimo zniecierpliwienia publiczności badaliśmy wszystkie za i przeciw, wszystkie okoliczności, które świadczyły za os-



karżonym i przeciwko niemu. Obowiązek udowodnienia winy spoczywa na oskarżycielach publicznych. W procesie karnym liczą się fakty i tylko fakty. Zadaliliśmy sobie pytania następujące: czy oskarżony Modzelewski zabijał w sposób i w okolicznościach opisanych w akcie oskarżenia, czy to samo dotyczy czy go w zakresie intencji i sposobu usiłowań zabójstwa oraz czy osk. Modzelewski za bił świadomie, z chęcią zadania śmierci. Na wszystkie pytania musieliśmy odpowiedzieć twierdząco, mimo, że przed Sądem nie stanęły już osoby zabite przez oskarżonego, ale istnieją niezbita dowody jego winy, które Sąd w ciągu postępowania dowodowego rozpatrzył z całą wnikliwością. Wyjaśnienia i zeznania Modzelewskiego złożone bez żadnej sugestii i nacisku w śledztwie oraz przed Sądem urosły do rangi dowodu generalnego, wobec faktu, że pokryły się z zeznaniami świadków, stwierdzeniami czasu, miejsca i sposobu dokonania zabójstwa, ponieważ zaistniała zgodność tych oświadczeń i zeznań z protokołami obdukcji zwłok ofiar, ponieważ dodatkowo zastosowaliśmy wizję lokalną, której zapis filmowy Sąd miał możliwość obejrzeć — i w końcu opinie biegłych psychiatrów oraz specjalistów medycyny sądowej stwierdzają fakt, że tylko jeden zabójca mógł występować we wszystkich zarzucanych przypadkach. Wszystkie działania oskarżonego były świadome, przygotowane, zabójca wychodził z zamiarem zabijania”.

Niewątpliwie historia polskiego sądownictwa odnotuje

jedno z piękniejszych wystąpień obrony w jednym z trudniejszych procesów:

„Rozpatrujemy sprawę bez precedensu, przynajmniej w naszym sądownictwie karnym. Sprawa ta wymaga ogromu materiału poznawczego i wielkiej wiedzy. Chciałem od razu na wstępie zaznaczyć, że opinia publiczna tego miasta i prasa codziennie przesądzały niejako o winie oskarżonego, którego bronię z urzędu. Doszło do momentów aż tak jaskrawych, że używano w sprawozdaniach prasowych słowa mordca i słowa brutal, zanim zapadł wyrok na Modzelewskiego. Zadanie obrony, którą tutaj reprezentuję, nie jest tylko zadaniem formalnym. Przede wszystkim muszę zaopiniować skąd bierze cały szereg wątpliwości, które zgodnie z polskim orzecznictwem karnym powinny świadczyć na korzyść oskarżonego, a o tym jednak zapomniano. Wysoki Sądzie Wojewódzki, jeśli zadawałem pytania, licząc na pytania w stosunku do biegłych i świadków, jeśli składałem nie przyjęte tutaj wnioski, to nie po to, aby gmatwać procedurę lecz po to jedynie, aby nie było żadnej wątpliwości dotyczącej winy mojego klienta i aby inna osoba ewentualnie nie uniemożliwiła osądzenia winy i wymiaru kary za czyny, które przypisuje się mojemu klientowi. Jeśli mówimy o ochronie życia i prawach obywatela, to nie możemy zapominać, że również oskarżony jest członkiem naszego społeczeństwa.

Niestety zeznania świadków — których Wysoki Sąd powołał w liczbie 100, a z których część odmówiła zeznań, a część tych zeznań złożyła nie mogła z uwagi na wcześniejszy swój zgon — nie wniosły prawie nic do procesu. Ponadto muszę podważyć wiarygodność zeznań poszczególnych świadków, ze znających przed Sądem, szczególnie w zakresie rozpoznania oskarżonego, ponieważ do takiego rozpoznania w żadnym wypadku nie doszło”.

Obronca zakwestionował jeszcze stereotypowość zabójstwa Gołackiej, w stosunku do innych zabójstw, jeszcze raz podkreślił, że sprawy świadomości, woli oraz popędu są sprawami do rozstrzygnięcia również przez biegłych psychologów i seksuologów, których Sąd nie powołał. Ponadto obronca wskazał na szereg czynów nielegalnych dokonywanych przez Modzelewskiego oraz — co jest rzeczą niezmiernie ważną — dopuścił możliwość istnienia epilepsji ze stanami pomrocznymi i częściowym zanikiem świadomości.

W wyniku rozprawy przed Sądem Wojewódzkim dla woj. łódzkiego, Stanisław Modzelewski otrzymał łączną karę śmierci oraz utratę praw obywatelskich i honorów na zawsze.



Lewym okiem

PAMIĘĆ W BUTELCE

Gdyby wszystko co człowiek przeżywa sumowało się w sposób prosty, gdyby każda chwila, godzina, doba zostawała w odczuciu i pamięci wciąż tak samo żywa i intensywna, a tylko przedłużana coraz bardziej o następne doby i lata — życie byłoby nie do zniesienia. To prawda. Ale prawdą jest też i to, że gotowiśmy ponieść każdy koszt i wysiłek, żeby właśnie nie zapominać, żeby trwało wszystko naraz, żeby nie uciekało razem z przeżytych czasem: obstawiamy się pamiętkami, przedmiotami, utrwalamy słowa, obrazy, gesty, myśli — żeby pomogły chociaż zastępować odtworzyć jakiś moment, skojarzyć różne zwizyjne elementy w nastrój, podobny do raz kiedyś przeżytego.

Włec jak: pamiętać jak najwięcej, czy jak najszybciej zapominać i czystą, niezapisaną kartą podstawiać się pod wciąż nowe zawijasy piszącej się historii? Podobno — jak twierdzą niektórzy uczeni — zdolność zapamiętywania jest ści-

śle związana z tworzeniem się w organizmie kwasów rybonukleinowych. Podobno — jak czytalem niedawno w prasie — wynaleziono już w Ameryce substancję, która wzmacnia zdolność zapamiętywania. Substancję nazwano „Silert”. Mamy więc pamięć w butelce, może tylko jeszcze trochę za drogą i to w ciężkich dolarach. Lada dzień przywożą ją turyści, ukrytą w sztucznej szczelce lub w krawacie. Co z nią zrobimy? W młodości, na etapie uczenia się przed egzaminem czy przed klasówką, sprawa jest jednoznaczna i rokuje jak najpiękniej. Za kilka lat szkoły mogą się okazać niepotrzebne. Delikwent idąc spać nastawi sobie obok poduszki magnetołony z wykładem o historii wojen punickich i zażyje lyżeczkę „Silertu”. Rankiem wie wszystko o wojnach punickich i jest pewny, że będzie pamiętał aż do śmierci. Miejsce nauczycieli zajmą domokrażni technicy, konserwujący magnetołony, i farmaceuci od sztucznej pamięci. Fajnie.

Dopiero później, w życiu dojrzałym, zaczynają się komplikacje. Okazuje się, że o niektórych sprawach chcielibyśmy za wszelką cenę zapomnieć, o innych wcale nie pamiętać. Najgorsze zaś, że te dwa chcenia ciągle się tasują i dojsz do nich do tadu nie można. Trzeba by co rychlej wynaleźć Antysilert, żeby wymazywać z pamięci rzeczy znoszone, uprzykrzone, niemiłe, a potem znów jakiś Re — Silert, który by szczytki wspomnień, wytartych świadomie, aktywizował z powrotem. Człowiek miałby się jak głupi między rybonukleinową nadkwasotą, a takąż niedokwasotą, aż wreszcie machnąłby ręką na cudow-

ne substancje, albo też — odwykowo — zacząłby zazywać Silert bez Silertu. No tak. Tak, jak — na przykład — papierosy bez nikotyny. Dla zdrowia.

Czego też ludzie nie wymyślą! Ponieważ alkoholizm staje się w skali światowej klęską społeczną, należałoby pomyśleć o bezalkoholowym spirytusie. Przyjemny jest lekki szumek w głowie i połączone z nim uczucie nieważkości. Nieprzyjemnie boli później wątroba. Może się coś wymyśli, żeby te zjawiska od siebie uniezależnić. Osobnik, oddający się opilstwu, nie pamięta, jaką krzywdę wyrządza sobie, rodzinie i społeczeństwu. Skoro nie pamięta — należy mu wzmocnić pamięć. Żyżeczkę Silertu przed snem — popamiętasz koteczku!... A jeśli i wtedy nie popamięta — to fakt ten będzie świadczą wyłącznie o złej jakości odnośnej kwasotwórczej substancji. O brakoróbstwie w chemii.

Mógłbym oczywiście wykażać na przykładach mniej groteskowych, powszechnie znanych, konkretnych, że chemia rządzi światem i że nadejdzie czas, gdy każdą reakcję psychiczną będzie można ująć w chemiczny szylf z dużych i małych liter. Dziwna to będzie epoka, dziwna, straszna i nie do wyobrażenia. Na szczęście lada dzień wymyśli ktoś substancję na pobudzenie wyobraźni. Wtedy ludzie sztuki, handlujący wyobraźnią, zwiną interes jako nieopłacalny i nie znajdujący nabywców, i kto wie, czy wszyscy razem nie sięgniemy po jeszcze inny związek chemiczny: środki nasenne. —

CWIEK